Nr. 12. Lwów — Czwartek dnia 16 Stycznia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zareczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 30 „
Nekrologia . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Śr. | św. Marcelego | Śr. | Sobor 70 Ap.
Jutro: Czw. | św. Antoniego | Czw. | Fteopempta

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 7 m. 52
Zachód „ „ 4 „ 29

Długość dnia g. 8 m. 37
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 15 stycznia.

Dwudziesta piąta rocznica proklamowania niemieckiego cesarstwa wypada w nadchodzącą sobotę. Na ziemi pokonanego wroga, w wersalskim pałacu, gdzie każdy sprzęt przypomina dumnych Ludwików francuskich, wielokrotnych zwycięzców na niemieckich polach bitew, wzniesiono naprędce, jak z igły nowy tron, ozdobiony cesarską koroną. I 18 stycznia 1871 roku stanął na nim pierwszy cesarz z dynastyi Hohenzollernów, król pruski Wilhelm, mając obok siebie syna Fryderyka, królów i książąt niemieckich, Bismarka w błękitnym mundurze z żółtemi wyłogami, „wielkiego milczka“ Moltkego, Podbielskiego, który pomimo polskiego nazwiska był Niemcem, Roona i wielu innych paladynów tej burzliwej epoki. Sala napełniona była dygnitaryatem wojskowym, który z rozbitej potęgi francuskiej szablami wykrzesał dla swego wodza koronę cesarską. Proklamacyę powitano grzmiącymi okrzykami radości i pychy. Nowemu cesarzowi składali życzenia nietylko jego podwładni, ale i ci niepodlegli panowie, którzy stawali się wasalami, i ci także monarchowie, dla których nowe cesarstwo było groźbą, albo przynajmniej niewygodą. Naród niemiecki był upojony szczęściem, bo się ziścił wymarzony ideał, do którego w pieśniach wzdychali poeci. Nie było wówczas dyssonansu, bo pokonani milczeli, a wszyscy inni składali hołd powodzeniu.

Minęło od tej chwili tylko 25 lat, jeden moment w życiu narodów, i oto wspomnienie tego wypadku w nikim nie budzi radości. Wszystkie jubileuszowe daty przeminęły prawie ponuro, nawet parlament nie uczcił ani słówkiem swego dwudziestopięciolecia. Kto myślą przebiegnie wszystko, co się w tym czasie stało, jako bezpośrednie następstwo zjednoczenia Niemiec i pokonania Francyi, więc prześladowania religijne i narodowe, podniesienie siły nad prawem, powstanie i rozwój wywrotowych dążności, zanik opinii, ciągły wzrost podatków, ciągła i coraz większa zbrojność, a pomimo tego wieczna trwoga o pokój; kto nadto pomyśli, do czego to wszystko musi doprowadzić, ten odrazu zrozumie, że naród niemiecki, zdawna nawykły do wnikania w treść rzeczy, nie mógł obchodzić tego jubileuszu. On już teraz pojął, że własnemi rękami siebie pokonywał na francuskich polach, siebie oddawał pod panowanie pruskie.

Lecz z kolei rzeczy zbliżył się jubileusz przedewszystkiem dynastyczny, ów, który wypada w nadchodzącą sobotę. Ten musi być obchodzony uroczyście i powinien wypaść świetnie. Więc zawczasu poczyniono rozległe przygotowania, aby w Nowym Pałacu nie brakło nikogo z tych, którzy mogą uświetnić sobą nowy blask dynastyi. Wilhelm II odwiedził wasalów, spraszając ich na tę uroczystość, pojechał do Bismarka, nie jak do poddanego, lecz jak do przyjaciela rodziny i miłego sąsiada, z którym spożył skromny obiadek. Po tak ujmującej grzeczności nie można już było wątpić, że w Nowym Pałacu i w tym samym mundurze błękitnym z żółtemi wyłogami pokaże się ten, który stworzył cesarstwo. On jeden wystarczyłby za wszystkie świetności. Prasa niemiecka zapowiadała jego przybycie, dodając, że jest w pożądanem zdrowiu i w najlepszym humorze z powodu ostatniego zwrotu w polityce niemieckiej. Przyjaźń z Rosyą, oziębłe stosunki z Anglią, a z socyalizmem nieubłagana walka, ale jedynie policyjnymi sposobami, to jest właśnie to, co Bismark uważa za doskonałe. Więc przyjedzie do Berlina na 18ty stycznia, aby udziałem w uroczystości zaznaczyć swą zgodę z rządem. Cesarz kilka dni temu wysłał do niego adjutanta z własnoręcznym listem, zapraszającym w słowach wyjątkowo serdecznych, aby zamieszkał w przygotowanych dlań pokojach w Nowym Pałacu, pod jednym dachem z rodziną cesarską. Nadeszła na ten list odpowiedź, w której Bismark uniżenie przeprasza, iż, niestety, przyjechać nie może, bo lekarz zabronił mu wychylać się z domu. Więc uroczystość 18go stycznia będzie pozbawiona największego blasku, a Niemcy łamią teraz głowy nad zagadnieniem, co to znaczy: czy Bismark dotąd nie zapomniał swego upadku i będzie się mścił do śmierci, czy też zmyśliły dzienniki, donosząc o dobrem zdrowiu pustelnika i o jego pochwałach dla najnowszej polityki berlińskiej. Pierwsze wypływa z charakteru Bismarka, ale i drugie jest prawdopodobne.

Książę Ferdynand bułgarski, jak wiadomo, nadzwyczajnie kocha swą nową ojczyznę. Deputacyi sobrania, która prosiła go o przechrzczenie syna, powiedział, że nie ma ofiary, którejby nie poniósł dla uwielbianych przezeń Bułgarów. Więc choć mu się katolickie serce rozdziera, ale syna zrobi renegatem. Wprawdzie mógłby tego nie robić, skoro ci sami Bułgarzy na jednem z poprzednich sobranij przyznali za nim prawo wychowania syna po katolicku, ale kochające serce nie dba o logikę. Naznaczono już dzień, w którym bułgarski egzarcha miał przyjechać do Sofii z Konstantynopola i przechrzcić małego Borysa. Stać się to miało 30go stycznia. Egzarcha już otrzymał urlop od sułtana, a Stoiłow zaprosił wszystkich krajowych metropolitów, aby przybyli i asystowali przy tak ważnym akcie. Wtem ks. Ferdynand zaczął się rozmyślać, a w końcu postanowił wyjechać do Europy na kilka tygodni. A zatem przechrzczenie Borysa nie odbędzie się w oznaczonym terminie. Bułgarzy się zaniepokoili, poczęli w sobraniu poufnie dowiadywać się od Stoiłowa, co to znaczy, a ów minister podobno z pewną irytacyą rzucał temu i owemu do ucha, że klamka zapadła i że księciu już nie wolno się cofnąć, choćby jak chciał. Zwolna ułożono w Sofii taką opowieść: książę czekał cierpliwie rosyjskiej nagrody za ofiarę, którą postanowił zrobić z syna, ale nagroda nie przychodziła. Z Petersburga nie dawano najmniejszego znaku, z którego można byłoby poznać, że za prawosławie Borysa jego ofiarny ojciec będzie choć do połowy uznany za prawowitego księcia Bułgaryi. Zaczął tedy przypuszczać, że owa deputacya, która z metropolitą Klementem jeździła do Petersburga, przywiozła stamtąd zapewnienia, których jej nie dawano. Zaczął potem zastanawiać się, czy ofiara nie będzie daremna, a jeszcze później, czy nie zaszkodzi mu? — i tu nadzwyczajna miłość do Bułgaryi znacznie zbladła. Wówczas książę, jako wielki polityk i mistrz w dyplomatycznej strategii, postanowił pierwej upewnić się, że przechrzczenie syna nic mu nie zaszkodzi. Jedzie tedy błagać krewnych, aby się nie wypierali prawosławnego Borysa i liczy, że to mu się uda. Jedzie błagać o to samo Papieża, i o to jeszcze, aby jego samego i jego żony nie uważał za odpadłych od Kościoła, bo oczywiście rodzice, a nie dziecko, tu zawinią. Widać z tego, że na religią patrzy, jak na uniform dyplomatyczny, jednakże przypuszcza, że Papież nie zrobi dla niego wyjątku. Jeśli tedy w Rzymie nic nie uzyska, wówczas zaczeka na jakieś wyraźne ustępstwo ze strony Rosyi, bo inaczej nie opłaci się tak nadzwyczajnie kochać Bułgarów.

Z Sofii donoszą dalej, że układny Stoiłów zaczął pokazywać księciu złe humory i oświadczać mu, iż tu nie chodzi, ani o familijne interesa Koburgów, ani o gniew Papieża i o Rosyę, lecz o Bułgarów, którym przyrzeczono prz chrzcić Borysa. Kraj może się wzburzyć, egzarcha może drugi raz nie otrzymać od sułtana urlopu, słowem stanowisko gabinetu, który trzyma księcia na tronie, jest ważniejsze od wszystkiego, a ono zależy od wykonania przyrzeczenia, danego przecież przez Ferdynanda bezwarunkowo, jedynie tylko z racyi nadzwyczajnej miłości do Bułgaryi. Słowo się rzekło — mówi Stoiłów — spełnić je trzeba. I nie ulega wątpliwości, że książę, który już nie jedno zrobił, aby się jeno utrzymać na tronie, podda się naciskowi Stoiłowa, albo innego szefa rządu, bo zapowiedziana we wczorajszym telegramie, jako prawdopodobna, dymisya gabinetu, nie wyratuje księcia z położenia rzeczywiście trudnego, w którem dobrowolnie się znalazł.

Nadzwyczajne powodzenie powstańców na Kubie, ich terroryzm, którym zmusili mieszkańców do popierania rewolucyjnej sprawy, ich panowanie już na całej wyspie i zdobywanie samej stolicy, wprawiło rząd hiszpański w takie przygnębienie, że gabinet Canovasa podobno zamierzył ustąpić. Jedynym jego spadkobiercą może być wódz liberałów Sagasta, który już oświadczył publicystom, że chociaż jest stary i skołatany, jednak w tak krytycznej dla Hiszpanii chwili, bez wahania się przyjmie wezwanie królowej, bo przekonany jest, iż wszyscy patryoci zaniechają walk stronniczych i na wołanie rządu: „Ojczyzna płonie! Wszyscy na dach!“ rzucą się do wspólnej pracy. Sagasta mówił dalej, że honor państwa wymaga, aby powstanie było pokonane, a w tym celu przedewszystkiem trzeba posłać jeszcze więcej wojska i okrętów. To już właśnie teraz zarządził Canovas. Następnie oświadczył się Sagasta za niezwłocznem odwołaniem marszałka Martineza Camposa, a jednak on go sam posłał na Kubę i wtedy w Kortezach powiedział, że to jest jedyny człowiek, który może uspokoić wyspę i to z pewnością zrobi do Nowego Roku, jak to sam przyrzekł. Omylił się więc Sagasta, a zatem niepotrzebnie wytyka teraz Canovasowi jego zaufanie do Camposa. W końcu Sagasta dodał, że stanąwszy u steru, zaraz opracowałby projekt szerokiej autonomii dla Kuby. Od tego powinien był zacząć, kiedy się powstanie zaczęło, ale właśnie jego stronnictwo, jak zresztą wszędzie liberalne, przeciwne było nadaniu samorządu Kubie, bo na całym świecie liberałowie są zwolennikami centralizacyi, jako systemu, który ułatwia robienie różnych eksperymentów doktrynerskich.

Korespondencye.

Wiedeń 11 stycznia.

Podczas gdy oba rządy monarchii układają się w kwestyi bankowej, sprawa ta wejść musiała, jak się spodziewać można było, i do szpalt dzienników i pism fachowych. Mamy tedy w Wiedniu i Budapeszcie najrozmaitsze przedstawienia rzeczy w dziennikach. Głównym punktem sporów jest dług Austryi w kwocie 80 milionów zaciągnięty u banku. Długu tego Węgry uznać nie chcą, zobowiązały się tylko spłacać go, po upływie przywileju banku, w 50 ratach rocznych i bezprocentowych (t. j. bez uwzględnienia odsetek od kapitału) i tylko w kwocie 30% całej przez Austryę dłużnej naówczas sumy. Tymczasem dług ten powoli amortyzuje się z udziału obu państw monarchii w zyskach banku. Monarchia ma bowiem prawo ściągania dla siebie jednej połowy zysków obliczonych z dochodów po nad 7%-wą dywidendę akcyonaryuszy. Z tego udziału w w zyskach spłacono już około 3ch milionów, a po uwzględnieniu zysków z roku 1895 i podatku od banknotów powyżej sumy 200 milionów nad fundusz metalowy wydanych, spłacono po dziś dzień 3,677.541 zł., tak, że dług Austryi z dniem 1 stycznia 1896 wynosił 76,322.459 zł. Gdyby więc dziś n. p. przywilej banku się skończył, Austrya musiałaby całą tę kwotę 76,322.459 zł. zapłacić bankowi, a otrzymałaby od Węgier tylko 22·9 milionów zł. w 50 ratach rocznych po 458.000 zł. mniej więcej. Austrya otrzymałaby przeto o wiele mniej, niż oprocentowanie roczne po 4% kwoty 22·9 mil. wynosi.

W chwili tej chodzi jednak nie o to. Spór toczy się o udział w zysku banku na złocie zakupionem aż po rok 1892. Już w latach 1871—1874, kiedy jeszcze bank nie był zorganizowany wedle dzisiejszej ustawy na zakład „austro-węgierski“ i kiedy nazywał się jeszcze „austryackim bankiem narodowym“ — zakupił on za $79\frac{1}{2}$ miliona złota w przewidywaniu możliwej reformy waluty, wymieniając swoje srebro, wysoki wówczas mające kurs. Złoto to miało po zaprowadzeniu ustaw o walucie wartość o wiele większą. Zakupiono i notowano je w księgach banku w stosunku wartości srebra: $1 : 15\frac{1}{2}$. Ustawa o walucie przyjęła jednak relacyę $1 : 18\frac{2}{9}$. W bilansie banku musiano przeto uwzględnić zwyżkę kursową zapasów kruszcowych, przedstawiającą kwotę 13,525.000 zł. Czy ten zysk na kursie złota jest zyskiem, w którym państwo ma udział, czy nie? Oto pytanie.

Na zgromadzeniu generalnem austro-węgierskiego banku w maju 1892 r. uchwalono po zniesieniu się z rządami całą tę sumę wpisać na rachunek funduszu rezerwowego.

Teraz jednak oblicza Wittelshöfer w *Zeitschrift fuer Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung*, że rządy tracą 6,490.000 złr., a z tej kwoty Austrya 4.540.000, Węgry zaś 1,940 000 złr. Dla Węgier jednak przedstawia się rzecz o wiele korzystniej, bo Węgry w razie nie odnowienia przywileju bankowego (po r. 1897) obowiązane są tylko kwotę tę 1,940.000 w 50 ratach Austryi wypłacić, t. j. nie całych 39.000 złr. rocznie. A przyjmując kapitał, który przy oprocentowaniu stosownem mógłby na 50 rat takich być rozłożonym kwotą 836.784 złr, dochodzimy do tego, że Węgry bardzo mało są w tej kwestyi zainteresowane. Austrya wypłacić musiałaby bankowi 4,540.000 złr., i to, czego Węgry nie zapłacą zaraz (1,940.000 złr. +836 784) a więc razem 5,650.000 złr.

Bank jednak staje na tem stanowisku, że państwo do zysków tych z podniesienia się kursu złota żadnego nie ma prawa, tak samo, jak n. p. i do zysków z podniesienia się wartości realności, powiększenia kapitału, wzrostu funduszów rezerwowych. Bank musiałby, rozwiązując się — jak mówią jego obrońcy — podzielić się, w myśl zasady Wittelshöfera, całym wzrostem kapitału z państwem, a państwo ma przecież tylko udział w dochodach.

Zdaje się, że tym razem — wyjątkowo! — stanowisko banku, jest słuszne.

Londyn 8 stycznia.

(*T.*) Niepodobna wyobrazić sobie z daleka wrażenia, jakie w całem społeczeństwie angielskiem wywołała sprawa Transwaalu. Nigdy jeszcze nie byłem tu świadkiem takiego wybuchu patryotycznych uczuć, takiej gorączki. Brak pewnych wiadomości przyczyniał się jeszcze do rozognienia umysłów, zostawiając swobodne pole grze wyobraźni. Obecnie pierwszą fazę tej sprawy mamy już po za sobą i mamy prawo policzyć straty jakie przyniosła: dobrej strony nie ma w sobie żadnej — z angielskiego punktu widzenia.

W świetle tej sprawy ujrzała naprzód Anglia cały rozmiar swej niepopularności i niechęci jaką budzi jej zaborcza, egoistyczna polityka u wszech mocarstw i narodów. Zamiast uderzyć się w piersi i przyznać, że na tę nieufność zasłużyli, Anglicy oburzają się na swych sąsiadów i współzawodników w ogóle, a Niemców w szczególe. Cesarz Wilhelm przez swą depeszę do prezydenta Krügera stał się najniepopularniejszą figurą. Rzucają nań obelgi, a pospólstwo ściga już Niemców swą zemstą. Ludzie należący do sfer parlamentarnych proponują pozbawić cesarza Wilhelma wszelkich honorów i tytułów angielskich. Naturalnie ten szał przeminie, ale pozostawi po sobie głębokie i trwałe ślady. O przyjaźni i o związku z Niemcami mowy nie będzie przez długie lata! Na wiadomość urzędową o wysłaniu sił znacznych wojskowych do południowej Afryki publiczność się uradowała, widząc w tem zapowiedź wojny z Niemcami. Jeżeli to nie mówi na korzyść jasnego sądu, to wskazuje wymownie głębię rozjątrzonej dumy narodowej.

Drugiem następstwem tej awantury jest całkowita dezorganizacya kolonii angielskich w południowej Afryce. To złote jabłko, ta najpopularniejsza z kolonii, straciła od razu swoje widoki przyszłości... jeżeli nie ekonomicznej, to politycznej. Jak wiadomo, oddawna było celem mężów stanu rządzących kolonią Capu, a szczególniej genialnego Cecile Rhodesa, ugrupować około niej wszystkie kraje przyległe i utworzyć tam potężne, jednolite mocarstwa. Szereg wojen z Natalem, Transwaalem, Zulusami, Matabelalandem i Buchanalandem, wykazał dowodnie, jakie są zamiary Anglii. Wszystko zdawało się uśmiechać temu planowi, a świeże odkrycie nieprzebranych skarbów mineralnych w tych strefach dodało im nowego popędu.

A oto wszystko runęło, jak gmach z kart. Dr. Jameson, prawa ręka wielkorządcy Capu, Cecila Rhodesa, przyzwany na pomoc przez rodaków swych osiadłych w Transwaalu, w przekonaniu, że tam wybuchnie rewolucya, spieszy z odsieczą; ale znajduje się odciętym, osaczonym i na łeb pobitym, zanim rodacy jego podnieśli rokosz. Tryumf Boerów zupełny; bo nietylko pobili Anglików, ale skorzystają z tej okazyi, aby Anglii wypowiedzieć traktat dotąd obowiązujący, a hamujący ich niezależność. Nietylko tedy Anglia nie podbije Transwaalu i nie wciągnie go do swych posiadłości, ale przeciwnie znajdzie w tym kraju zaporę do swego dalszego rozwoju i zjednoczenia się. Dzieło kilku pokoleń, jeżeli nie zniweczone, to przynajmniej na długo powstrzymane zostało.

Trzecią klęskę stanowi dymisya wielkorządcy Capu, Cecile Rhodesa. Jestto najpotężniejsza indywidualność z całego anglosaskiego świata. Nie wiadomo, czy sprawdzą się dziwaczne pogłoski, że p. Krüger żąda, aby go rząd angielski wygnał z Afryki południowej raz na zawsze. Brzmi to trochę fantastycznie; ale tyle nieprawdopodobnych rzeczy zaszło w tych czasach, iż na wszystko można być przygotowanym. Pokazuje to w każdym razie, jak przyjaciele i wrogowie znają nieposlednią wartość tej indywidualności. Rząd musiał przyjąć jego dymisyę jako pierwszego ministra i zastąpił go już podrzędną figurą. Nie mógł pozostać dłużej u steru rządu, który się bądź co bądź skompromitował taką awanturą. Pytanie obecnie: co się z kolonią tą stanie, gdy jego inicyatywy tam zabraknie?

Ale i tego jeszcze nie dosyć. Jak wiadomo obok kolonii Capu zależącej od rządu angielskiego, była tam południowo-afrykańska kompania, której rząd nadał Chartę (przywileje szerokie) i która była pionierem cywilizacyi i interesów angielskich. Takie prywatne Towarzystwa rząd po upływie pewnego przeciągu czasu indemnizuje, spłaca i sam w ich prawa wchodzi. Najsłynniejszym przykładem tej taktyki jest kompania indyjska, której spadkobierstwo — 250-milionowe Indye — dostało się rządowi W. Brytanii.

Otóż kompania południowej Afryki ma w Londynie takich dyrektorów jak książę Fife, zięć księcia Walii, książę Abercorn, p. Robert Maquire etc. Wszyscy, zrobiwszy swym przedstawicielem i wielkorządzcą w Afryce p. Cecila Rhodesa, zebrali już żniwo milionów. Oni to także, prawdopodobnie, popchnęli do tego zbrojnego wtargnięcia do Transwaalu, złakomiwszy się na jego skarby, a posługując się zręcznie interesami patryotyzmu angielskiego. Przerachowali się i nawet dobra gwiazda Cecila Rhodesa nie potrafi ich ocalić. Jak sobie on względem nich postąpi, niewiadomo, ale jest już wiadomem co zrobi rząd angielski. W obec nadużyć popełnionych przez kompanię południowo-afrykańską, w obec kłopotów jakie na rząd ściągnęła, w obec groźby wojny, jaka zawisła nad narodem, p. Chamberlain, sprężysty i energiczny minister kolonii, odbierze towarzystwu jego Chartę (przywileje) i wciągnie całe terytorya afrykańskie, w których ono dotąd gospodarowało, do swoich dominiów i pod swój bezpośredni zarząd.

Jest to projekt rozległy i krzyżuje tyle potężnych prywatnych interesów, że nie będzie rzeczą snadną wprowadzić go od razu w życie. Tej okoliczności przypisuję wysyłkę floty i armii do południowej Afryki: rząd chce być na wysokości trudności, które tam spotkać może. Nie można się dziwić, że w obec klęski jaką ten mandataryusz ściągnął na rząd, ten ostatni chce mu mandat odebrać. W każdym razie gotuje to gabinetowi trudności i niebezpieczeństw nie mało, ale trzeba przyznać, że ta akcya zewnętrzna i kolonialna będzie powodem do stłumienia i rozbrojenia wszelkiej opozycyi

---

LISTY Z WIEDNIA.

(*Muzyka*).

Niedawno pojawiła się w Berlinie pośmiertna praca słynnego chirurga Teodora Billrotha pod tytułem: „Kto jest muzykalnym? (Wer ist musikalisch?). Billroth był mimo swojego ciężkiego i bardzo wiele czasu zajmującego zawodu najpilniejszym gościem sali koncertowej, sam grał wybornie na fortepianie, u siebie w domu podejmywał głośnych wirtuozów i kompozytorów i pozyskał w kołach artystycznych sławę wielkiego znawcy muzyki, którą nietylko z estetycznego, ale z fizyologicznego i w ogóle przyrodniczego rozbierał stanowiska. Pytanie więc, które postawił i odpowiedź, jaką na nie daje, zasługują na uwagę zarówno muzyków, jak i przyrodników. Billroth zastanawia się nad istotą rytmu, słuchu, wyobrażenia tonów, pamięci muzykalnej i poczucia formy. Rytm związany jest z organizacyą naszego ciała, oddech i bicie serca są rytmiczne a przecież nie brak ludzi nie mających poczucia rytmu. U niektórych jest ono więcej, u innych mniej rozwinięte, — u niektórych zupełnie skarlało i zanikło. Polskiemu czytelnikowi możnaby przypomnieć, że nawet tak wielki poeta jak Krasiński w pierwszych przynajmniej latach nie miał zbyt silnie rozwiniętego poczucia rytmu i że Konstanty Gaszyński ściśle z nim zaprzyjaźniony, poprawiał w wielu ustępach przesyłane mu utwory Zygmunta — oczywiście przestawiając tylko wyrazy, albo zwracając uwagę na drażliwsze usterki. Otóż kompletny zanik poczucia rytmicznego zdarza się częściej, niż przypuszczać można. W pułkach rekrutowanych z ludności górskiej 20, a nawet 30 proc. żołnierzy, z największym tylko trudem uczy się maszerować i nigdy dobrze wyuczyć się nie może.

Muzyka zaś bez rytmiki jest niemożebną. A czy do niej słuch jest potrzebny? Wprawdzie zmysł od muzyki leży w mózgu, ale zawsze pamiętać należy, że co się do mózgu nie dostało za pośrednictwem ucha, to jako podkład muzykalnego uczucia tam nie istnieje. Dobry organ słuchowy jest więc drugim warunkiem. Jednak tylko w latach młodych jest on koniecznością. Beethoven ogłuchł a nie przestał komponować i stwarzać rozmaitych nowych kombinacyi i figur z tego materyału, który się już był u niego nagromadził w pamięci. To jest nadzwyczajny przykład wyobrażenia tonów.

Co do pamięci rozróżnia Billroth pamięć przechowującą sam rytm tylko utworu, tak, że ktoś może przypomnieć sobie i poznać dzieło grane mu dawniej, choćby ono wykonane było zupełnie fałszywie i z najbardziej rażącemi dyssonansami i choćby on tych dyssonansów wcale nie zauważył — i pamięć dla melodyi i rytmiki, oczywiście bardzo różną w swych stopniach.

Są jednak ludzie, co uczą się muzyki, a utworu granego przez tygodnie, miesiące całe nawet nie poznają. Tym brak wszystkiego, a przecież techniką nagradzają do tyla braki, że odegrać mogą bez błędu dość trudne utwory. Billroth jest stanowczym zwolennikiem muzyki klasycznej Haydna, Mozarta i Beethovena — uznaje jednak wielką piękność późniejszych także dzieł. Tylko z Wagnerem zgodzić się nie może. Zarzuca mu długość i rozwlekłość motywów, brak łączności między śpiewem a orkiestrą i zupełną niezdolność „w muzykalnym rysunku charakterów“. „Każdy Bóg (germańsko-pogański) i każdy bohater jednakowo się odzywają“.

Od artysty żąda Billroth, aby publiczność podnosił ku sobie. A co dziś się dzieje? Z pewnością nie to, co Billrotha było marzeniem.

W sali koncertowej i w operze słyszymy tylko to, co się gdzieś podobało. Mniejsza o to, gdzie. Importuje się dzieła muzyczne i wirtuozów i krytykę. Narzuca się nam wszystko i trudno zdobyć się na sąd własny wobec krzykliwej kliki ajentów, impresaryów, pośredników, handlujących sławą międzynarodową. O koncertach drugorzędnych wirtuozów nie mogę się tu rozpisywać. A występy kwartetu czeskiego, D'Alberta, Gemmy Bellincioni, Mascagniego jako kompozytora itd. nic przecież bardzo nowego przynieść nie mogą. Gemma Bellincioni zachwyciła tym razem nietylko swoją znaną już Habanerą z opery „Carmen“, ale i pieśnią Lassena, śpiewaną po niemiecku. I to, już było rozmaitością w programach starych.

Mascagni, przyjechawszy tu z Budapesztu, otrzymał — jak zawsze — stosy kart wizytowych i fotografii, z prośbą o podpisy. Wiedeńczycy nie zmienili się widocznie od czasu, kiedy kompozytor pierwszy raz tu gościł podczas wystawy muzyczno-teatralnej i kiedy tłumy oblęgały go, żądając podpisu na biletach. Mascagni jednak zmienił się i teraz nie chce już dawać swych autografów, jeżeli petenci nie złożą jakiejś sumy na cele dobroczynne. O jego nowych operach „Silvano“ i „Ratcliff“, z których ustępy odegrano w wielkiej sali muzycznej pod batutą kompozytora, trudno mieć wyobrażenie dokładne po próbach zbyt nielicznych. Zarzucano im tu brak inwencyi i zbyt wyraźne usiłowanie działania na słuchaczów środkami sztucznymi.

Uwagę ogólną zwrócił na siebie kwartet berneński Beamta swemi humorystycznemi produkcyami, a jeden z członków jego, uczeń wiedeńskiej szkoły, Rebner, wylegitymował się jako znakomity wirtuoz.

Z kompozycyi nowych w sali koncertowej zaprodukowanych, wspomnieć wypada zwłaszcza o utworach Dohnanyego (Węgra), Sindinga (Norwegczyka), Francka (Francuza) i o głośnem oratoryum Tinela „Franciscus“.

Bardzo jeszcze młody kompozytor Dohnanyi dał się tu niemal równocześnie poznać jako wytworny pianista, grając sonaty Bacha i Mozarta, i jako niepośledni autor kwintetu, który nie tyle nowością pomysłów, ile odszukaniem i zestawieniem najbardziej wyrafinowanych trudności uderzył znawców.

Sinding reklamowany był jako nowy geniusz północy skandynawskiej; publiczność — z obowiązku, nie chcąc uchodzić za niezdolną do zrozumienia piękności niezwykłej — przyjęła jego trio hucznymi oklaskami; krytyka mniej była zachwycona i stwierdziła, że ani w tem, ani w innych dziełach kompozytora nie ma żadnej myśli nowej.

Całkiem inną postacią jest Cezar August Franck, zmarły przed blisko sześciu laty w Paryżu w 69 roku życia. Za młodu, dzieckiem jeszcze, zdobył pierwszą nagrodę w konserwatoryum paryskiem. Cherubini zdumiewał się nad jego talentem, pierwszorzędni znawcy przepowiadali mu wielką przyszłość. Ale muzykowi temu wypadło ciężko borykać się z przeciwnościami. Kompozycyi jego nie uznawano, nawet miejsca odpowiedniego nie mógł znaleść jako dyrygent lub kapelmistrz. Dopiero w roku 1858, jako 36letni mężczyzna, otrzymał posadę organisty w jednym z kościołów paryskich, a w 50 roku życia powołany został na profesora konserwatoryum.

Rozgoryczony niepowodzeniami zamknął się w sobie i żył jak pustelnik niemal. A według wiersza Gothego: „Kto się w samotne kryje zacisze, ten wnet jest osamotniony.“ Nie wystawiano jego kompozycyi, nie znano ich i dopiero po śmierci jego zajęto się niemi. We Francyi, w Niemczech, a teraz i w Wiedniu dzieła tego muzyka obudziły wielkie zainteresowanie. O kwintecie jego (z fortepianem), wykonanym przez kwartet Hellmesbergera, wyrażano się tutaj z niekłamanym podziwem, o kompozycya obliczona jest na wielkie i potęż

wewnętrznej, miejscowej. Wybuch patryotyzmu narodowego jest tak silny, że nikt nie poważy się krępować działania rządu.

Dotąd opinia publiczna nie zdaje sobie sprawy z ogromu następstw tej awantury i zaprząta się jedynie dramatycznymi jej epizodami. Ale gdy rząd Transwaalu zażąda indemnizacyi materyalnej i zadośćuczynienia moralnego za uczynioną jego krajowi krzywdę, co wtedy nastąpi? jak rozsierdzeni Anglicy przyjmą tę wiadomość? Czy będą pchali rząd, jak tego domagają się już dzisiaj warchoły, do wojny z Transwaalem, zapominając, że ta może ich wciągnąć w wojnę europejską? Oto, co zaprząta tutaj umysły bystrzejsze i rozważniejsze zarazem. Niepodobna przed sobą ukrywać prawdy; chwila jest krytyczna, groźna i w historyi Wielkiej Brytanii może się stać przełomową.

Sprawy sejmowe.

Na wczorajszem posiedzeniu Sejmu odpowiedział komisarz rządowy na cały szereg interpelacyi. Uwagi godną jest odpowiedź na interpelacyę w sprawie mundurków szkolnych. Pewnemu obozowi bowiem mundurki te są bardzo nie na rękę. Łatwo zrozumieć powody tego. Między młodzieżą szkolną nieumundurowaną o wiele łatwiej agitować i używać jej do rozmaitych demonstracyi. Starszymi studentami można często zapełniać galerye podczas zgromadzeń wyborczych, urządzać na nich hałaśliwe hece i później okrzyki młodzieniaszków przedstawiać jako głos narodu. Więc też stara się ten obóz wszystkiemi siłami, aby mundurki zniesiono i w interpelacyi użył popularnego motywu, że one utrudniają ubogim ludziom posyłanie dzieci do szkoły — co już z tego względu jest nieprawdą, że dotychczas noszenie mundurków nie jest jeszcze obowiązkowe.

Na interpelacyę tę odpowiedział komisarz rządowy jak następuje:

„W dniu 4 stycznia br. p. Szwed i towarzysze wnieśli interpelacyę, w której zapytują:

1 Czy wiadomem jest rządowi, że mniej zamożni i biedni rodzice nie mogą synów wysyłać do szkół średnich w skutek zaprowadzenia przymusu noszenia mundurków szkolnych?

3. Czy i kiedy w obec znanej i tylokrotnie podnoszonej w Radzie państwa biedy naszego ludu, zamyśla Rząd znieść przymus noszenia mundurków szkolnych?

Na to mam zaszczyt odpowiedzieć, że noszenie mundurków szkolnych nie jest jeszcze obowiązkowem w bieżącym roku szkolnym, a w skutek tego nie mogło nikomu przeszkodzić w posyłaniu syna do szkół średnich. Stwierdzić zresztą muszę, że w bieżącym roku szkolnym liczba uczniów w szkołach średnich zwiększyła się w porównaniu z rokiem ubiegłym o 879.

Gdy więc mundurki szkolne nie są jeszcze, lecz będą obowiązkowe dopiero od początku roku szkolnego 1896/7; i gdy obecnie nie można jeszcze ocenić, czy one rzeczywiście będą stanowiły jakąkolwiek przeszkodę we frekwencyi szkół średnich, a mianowicie, czy nabycie mundurka szkolnego będzie połączone z większym wydatkiem dla rodziców, aniżeli nabycie jakiegokolwiek innego przyzwoitego ubrania, przeto władze szkolne nie miały dotąd podstawy, ani powodu do wzięcia pod rozwagę uchylenia przymusu noszenia mundurków szkolnych, — a tem mniej, że mundurki szkolne zaprowadzone zostały na mocy Najwyższego postanowienia w skutek dwukrotnej uchwały wys. Sejmu z ważnych powodów pedagogicznych; że tam, gdzie je obecnie uczniowie w większej liczbie noszą, okazały się nader pożytecznym i zbawiennym środkiem pedagogicznym; wreszcie, że w różnych gimnazyach przygotowano już znaczne fundusze, ażeby zdolnym a ubogim uczniom ułatwić sprawienie mundurka.

Drugą interpelacyę wnieśli Rusini przez p. Okuniewskiego i żalili się w niej, że starosta stryjski prowadzi śledztwo przeciw tym włościanom, którzy wzięli udział w deputacyi do Cesarza i że komendant posterunku w Lisiatyczach łaje tych włościan ostatniemi słowy.

Na to odpowiedział komisarz rządowy, że zarzuty te są zupełnie bezpodstawne. Starosta nie prowadził żadnego śledztwa, a że starał się dowiedzieć, którzy włościanie brali udział w deputacyi, to jest całkiem naturalne, gdyż jako naczelnik powiatu obowiązany jest wiedzieć, co się w nim dzieje.

Wreszcie na interpelacyę p. Nowakowskiego w sprawie regulacyi Sanu pod Torkami, Poździaczem, Nakłem, Stubnem i Stubienkiem odpowiedział, że dlatego tej regulacyi nie rozpoczęto, ani nie opracowano jej projektu, iż regulacya tej przestrzeni kosztować będzie około 400.000 złr., a zatem tak wysoką kwotę, że wobec całej dotacyi na San, wynoszącej około 128 000 zł. rocznie, nie można jej dorywczo wydać, lecz tylko wedle systematycznego rozkładu w ciągu lat kilku. Zresztą naprzód trzeba uregulować San między Przemyślem a Bolestraszycami, dopiero później będzie można przystąpić do regulacyi tej przestrzeni.

* * *

Komisya gminna obradowała wczoraj na podstawie referatu p. Zaleskiego nad ustawą o zmianie statutu miasta Lwowa i postanowiła zalecić Izbie do przyjęcia jedną tylko część ustawy, dotyczącą wyboru rady miejskiej na lat sześć, odnawiania jej w połowie co lat trzy, i ustanowienia posad stale urzędującego wiceprezydenta i dyrektora magistratu. Uchwałę co do drugiej noweli — o dodatkach gminnych do podatków — odroczono z powodu zachodzących wątpliwości względem projektowanej zasady ich progresywności.

Następnie poseł dr. Fruchtmann — przy współudziale referenta dla spraw gminnych w Wydziale krajowym dra Wereszczyńskiego i komisarza rządowego hr. Łosia — przedstawił sprawozdanie o projekcie ustawy dla mniejszych miast i miasteczek. Jeden z członków komisyi poruszył kwestyę, czy wobec wniosku JEksc. Dunajewskiego o gminach zbiorowych nie należałoby jeszcze raz przejrzeć listy miast i miasteczek. Po dłuższej rozprawie komisya większością sześciu głosów przeciwko pięciu uchwaliła zreasumować § 1 ustawy i wybrała subkomitet, złożony z pp.: Romera, Wojciecha Dzieduszyckiego i dra Fruchtmana, któremu poruczono ponowną rewizyę § 1.

KRONIKA.

Lwów 15 stycznia.

Mianowania i odznaczenia Gr.-kat. proboszcz w Drohomyślu ks. kanonik Józef Gładyszewski otrzymał krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa.

Profesor uniwersytetu lwowskiego Dr Ćwikliński otrzymał tytuł radzcy dworu.

Minister sprawiedliwości przeniósł radców sądu krajowego Hipolita Litwinowicza z Przemyśla do Lwowa a Wilhelma Seidlera, Wiślańskiego z Tarnopola do Przemyśla.

Minister sprawiedliwości zamianował radzcami sądu krajowego przy trybunałach I instancyi: prokuratora Adolfa Sahanka w Samborze dla Sambora, naczelnika sądu powiatowego radcę Marcelego Tustanowskiego w Busku dla Lwowa, zastępcę nadprokuratora i radzcę Stanisława Przyłuskiego we Lwowie dla Lwowa, sekretarza rady przy lwowskim wyższym sądzie krajowym Michała Bojarskiego dla Lwowa, sekretarza rady przy lwowskim wyższym sądzie krajowym Władysława Piwockiego dla Lwowa, sędziego powiatowego w Rohatynie Ignacego Fido dla Przemyśla i zastępcę prokuratora w Złoczowie Juliana Sopotnickiego dla Złoczowa.

Minister oświaty zamianował gr.-kat. katechetę w gimnazyum tarnopolskiem ks. Dyonizego Dorożyńskiego rzeczywistym katechetą w gimnazyum ruskiem we Lwowie

Zmiana własności. Kopalnię ropy p. Władysława Dembowskiego w Ropicy ruskiej nabyło budapeszteńskie Towarzystwo akcyjne dla eksploatacyi ropy.

Z Rzymu piszą do *Politische Correspondenz*: Rosyjski poseł przy Stolicy św. p. Izwolski rozpoczął w ostatnich dniach trzytygodniowy urlop i udał się do Rosyi. Jeśli podróże jego dotychczasowe miały zawsze na celu sprawy polityczne, to tembardziej teraz można twierdzić, że wyjazd Izwolskiego do Petersburga jest w bezpośrednim związku z ostatnią fazą stosunków między Stolicą św. a rządem rosyjskim. Wspominaliśmy już kilkakrotnie o niezadowolnieniu, jakie wywołał w Watykanie ukaz z maja b. r. dotyczący zaprowadzenia obowiązkowej nauki języka rosyjskiego w katolickich seminaryach duchownych Królestwa Polskiego. Od tego czasu zaszły także inne akta nietolerancyi wobec katolickiego kościoła w Rosyi, tak, iż Stolica św. była zmuszona w stósować z tego powodu notę z protestem do rosyjskiego rządu. P. Izwolski uznał według wszelkiego prawdopodobieństwa za stosowne o kroku tym Watykanu udzielić osobiście w Petersburgu bliższych wyjaśnień i zasięgnąć instrukcyi co do dalszego traktowania tych spraw. Dalsze zaostrzenie stosunków między Watykanem a Petersburgiem zresztą nie nastąpiło, co już wynika z tej okoliczności, że Papież już obecnie zawiadomił rząd rosyjski o zamiarze wysłania reprezentanta swojego do Moskwy na uroczystość koronacyjną. Czy misyę tę otrzyma nuncyusz papieski w Wiedniu Msgr. Agliardi, czy inny jaki prałat, na razie jeszcze nie wiadomo.

Uznanie. Otrzymaliśmy pismo, zaopatrzone licznymi podpisami, zawierające podziękowanie, jakie mieszkańcy gminy Besko składają p. Antoniemu Gnieworzowi za jego działalność filantropijną. P. Antoni Gniewosz był lat 18 dzierżawcą Beska, a mieszkając tam stale, założył ochronkę, do której sprowadził siostry Felicyanki.

Projekt podwyższenia płac profesorów uniwersytetu i szkół średnich przedłożony zostanie Radzie państwa. Płace profesorów szkół średnich podwyższone zostaną przeciętnie do 1.400 zł., kwinkwenia pozostaną w dotychczasowej wysokości (pięć po 250 zł.) tak, że po 25 latach służby płaca wynosiłaby 2.400 złr. Dodatki aktywalne nie będą zmienione. Płace profesorów uniwersytetu projektowane są w wysokości odpowiadającej klasie rangi w jakiej pozostają profesorowie. I tak profesor zwyczajny (VI klasa rangi) otrzymałby 3.200 zł. rocznie, zaś nadzwyczajny (VII klasa rangi) 2.400 zł. Podwyższenie nastąpi prawdopodobnie od 1 października 1896.

Z powodu prześladowania religijno-narodowego w Rosyi zmuszony opuścić ojczyste strony, poszukuje miejsca organista, zdolny także do posługi pokojowej, bezżenny, lat 26 wieku, mający chlubne świadectwo skończonej szkoły od JX. dr. Surzyńskiego i drugie z przedostatniego miejsca swego pobytu. Zgłoszenia wprost do mnie: Nowy Sącz — kolegium. *St. Załęski.*

List gończy rozpisał sąd wiedeński za p. Maryanem Orłowskim, kandydatem notaryalnym i byłym redaktorem *Gazety wiedeńskiej*. Popełnił on podobno jakieś oszustwo.

Kapłani *ad solam missam.* W Warszawie w tych dniach otrzymano z Rzymu wiadomość o wyświęceniu na kapłanów *ad solam missam*, rodzonych braci: Antoniego i Józefa Kalinowskich. Według ustaw kościelnych, osoby, nieposiadające wykształcenia teologicznego, obznajomione tylko z ceremoniami, a odznaczające się moralnością i pobożnością, mogą otrzymać święcenia kapłańskie, ale jedynie dla odprawiania mszy św., bez prawa spełniania wszelkich innych czynności i obowiązków kapłańskich. Warunkiem, potrzebnym do święcenia takich osób, jest złożenie *patrimonium*, tj. dziedzicznego majątku, zapewniającego możność otrzymywania dochodów bez oddawania się innym zarobkom, albowiem kapłan *ad solam missam* żadnego *beneficium* nie dostaje. Wspomnieni bracia Kalinowscy złożyli po 30 000 rubli. Starszy (Antoni) liczy obecnie lat 46, miał niedawno sklep galanteryjny przy Krakowskiem przedmieściu: młodszy (Józef), liczący lat 39, był urzędnikiem kolei warszawsko-wiedeńskiej w Warszawie. Obaj mieli żony i prawie jednocześnie w roku zeszłym owdowieli.

W sprawie odpoczynku niedzielnego odbyło się wczoraj w sali ratuszowej bardzo liczne i burzliwe zgromadzenie kupców żydowskich i żydowskiej młodzieży, zwołane przez „Towarzystwo dla ochrony drobnego handlu" (Galizischer Kleinhandelschutzverein). Syoniści rej wodzili na tem zebraniu i rzucali się namiętnie na radnych: Markiewicza, Piętaka i Roszkowskiego, którzy na posiedzeniu Rady występywali w obronie odpoczynku niedzielnego, oraz na drów Goldmanna i Byka, którzy — zdaniem pp. Syonistów — byli zbyt łagodni. Ciekawe było oświadczenie jednego z tych panów, że żydzi nie mieszkają w państwie chrześcijańskiem, ale konstytucyjnem. Pp. Syoniści przemawiali wyłącznie po niemiecku, podczas gdy radni miejscy pp. Meyer, Blumenfeld i Herschman po polsku bronili siebie i swych kolegów wyznania mojżeszowego. Najlepsze jest jednak to, że gdy reprezentant pomocników handlowych, oświadczył się imieniem swych kolegów za 24 godzinnym odpoczynkiem w tygodniu, syonistycznie usposobione galerye wraz z przeważną częścią zgromadzonych, nie dozwoliły mu dokończyć przemówienia. Radny dr. Herschman zwróciwszy uwagę na charakterystyczny fakt, że na zgromadzeniu przemawiali sami tylko młodzi doktorowie, a nie kupcy, skonstatował, że stosunki żydowskie w gminie stołecznej są bardzo pomyślne i nie widzi powodu do szczególniejszej krucyaty przeciw ustawie. Jeden z mówców syonistycznych w półgodzinnej mowie podniósł, że używanie języka polskiego na zgromadzeniach publicznych stało się modą, że ani jeden żyd nie służy w magistracie lwowskim i że należałoby założyć żydowskiego „Sokoła".

Ostatecznie uchwalono: 1. wysłać do p. prezydenta miasta deputacyę, którąby zaprotestowała przeciw wyznaniowemu charakterowi ustawy, 2. w przeciągu 24 godzin zakomunikować uchwały wiecu prezydentowi miasta z prośbą, ażeby je odczytać na pełnej radzie miejskiej, 3. w przeciągu 8 dni wysłać deputacyę do Namiestnika, 4. wnieść petycyę po ministerstwa spraw wewnętrznych.

Przewodniczący p. Majer zwrócił uwagę na to, że używanie języka polskiego nie powinno być modą, ale obowiązkiem żydów i zamknął obrady.

Morderstwo. Z Żytomierza donoszą, iż w nocy z czwartku na piątek zamordowano tam adwokata przysięgłego Korczyńskiego.

Urzędnicy magistratu lwowskiego za pośrednictwem naszem udają się do Rady miejskiej z prośbą o zaprowadzenie spoczynku niedzielnego w biurach magistratu. Jest to bowiem naturalną konsekwencyą akcyi rozpoczętej ustawą o odpoczynku niedzielnym, a konsekwencyą pożądaną i konieczną.

Z karnawału. Bal techników odbędzie się dnia 11 lutego w sali Kasyna miejskiego.

Sfery kupieckie i rękodzielnicze naszego grodu narzekają bardzo, że karnawał jest bez życia, a wskutek tego ruch handlowy jest prawie żaden. Rękodzielnicy nie mają obstalunków, a tacy kupcy, którzy dawniej o tej porze handlowali po sto reńskich dziennie, są dzisiaj radzi, jeżeli wieczorem mają w kasie trzydzieści guldenów. Ogólne także ze sfer mieszczańskich podnoszą się skargi na naszą arystokracyę, że wcale nie rozbudza życia, nie wywołuje ruchu nie wznieca obrotu pieniężnego. Arystokracya o ile się nie zajmuje dobroczynnością, zakładaniem i utrzymywaniem instytucyi humanitarnych, lub religijnych, o tyle powinna za pomocą zabaw (ale nie gry w karty) przyczyniać się do ożywienia i podniecenia ruchu pieniężnego wśród warstw ubogich. Doskonale rozumie to księżna Metternichowa i dlatego tak ubóstwianą jest przez szerokie warstwy ludności wiedeńskiej. U nas przydałoby się bardzo posiadanie takiej księżnej, choćby na mniejszą skalę.

Dom bankowy Augusta Schellenberga i syna we Lwowie ul. Karola Ludwika l. 1 uprasza ową panię, która w poniedziałek dnia 13 stycznia b. r. przedpołudniem w towarzystwie młodej pani i chłopczyka sprzedała w kantorze tej firmy jeden los austryacki czerwonego krzyża, a kupiła natomiast jeden los miasta Krakowa numer 46527, by w jej własnym interesie zgłosiła się pisemnie, lub osobiście w kantorze powyższej firmy.

Zkąd pochodzi wyrażenie „kaczka dziennikarska?" Członek akademii brukselskiej p. Cornelissen chcąc raz wypróbować krytycyzm gazet, podał do kilku główniejszych pism wiadomość o doświadczeniu, dokonanem, jakoby w celu potwierdzenia znanej żarłoczności kaczek:

Zebrano jakoby dwadzieścia tych ptaków; jednego posiekano z dziobem i łapami i dano do pożarcia 19 pozostałym, które wywiązały się szybko z zadania. Z tych 19 znów uśmiercono jedną kaczkę, którą zjadło 18 pozostałych i tak dalej aż do końca. Ostatnia kaczka pochłonęła tedy, koniec końców, 19 towarzyszek.

Opowieść ta, podana w lekkim tonie, ogromnie się podobała, obiegła moc dzienników, przewędrowała za ocean, a z Ameryki po kilku latach powróciła znowu do Europy z dodatkami i ozdobami, ze szczegółowem sprawozdaniem z sekcyi, dokonanej na 20-tej kaczce itp.

Szulernie chłopskie X. Dr. Maryański zwraca w *Przeglądzie katolickim* uwagę ogółu na fakt nader smutny, mianowicie na epidemiczne rozszerzanie się szulerstwa wśród chłopów. Oto co kapłan ten pisze:

„Począłem śledzić tajemne szulernie wiejskie, nocne schadzki — i przekonałem się, że gra w karty rozpanoszyła się na dobre po naszych chatach wieśniaczych. Wkrótce też dowiedziałem się, iż jeden z moich parafian chłopków, przegrał w ciągu kilku dni ni mniej, ni więcej tylko okrągłe 150 rubli, to jest cały posag swojej żony. Dowiedziałem się że wyrostki całe noce spędzają przy kartach, zwłaszcza tam, gdzie na wsi mieszkają żydzi — że ci ostatni skupują od chłopaków zboże, jaja i inne rzeczy kradzione rodzicom i namawiają do palenia papierosów i gry w karty. Chłopak taki rozdrażniony, zły przychodzi z nocnej szulerki przed świtem do domu; niewyspany późno wstaje, pacierza nie zmówi, do pracy jest niechętny; traci wesołość, swobodę ducha. Jeżeli przegrał, ustawicznie myśli, jakby się odegrać, a gdy wygrał, ciągle ma w głowie, jakby zebrać nowych partnerów i znów ich ograć.

Godziwa rozrywka każdemu przystoi, to też wiele osób szuka tej rozrywki... w kartach. A tymczasem nic tak nie roznamiętnia, jak karty. Z początku niejeden jest przymuszony grać w karty, aby uniknąć czczej i banalnej rozmowy w salonie, następnie znajduje się pewną przyjemność w grze, wreszcie demon gry całkowicie opęta człowieka, bez względu, czy to jest pan, rzemieślnik lub wieśniak.

Z początku grasz tylko dla rozrywki, wkrótce jednak możesz się stać namiętnym graczem, co to ustawicznie myśli, gdzieby wyjechać na partyjkę... Bądź co bądź jednakże dla księdza są takie alternatywy: albo bawić panie w salonie, albo siedzieć przy zielonym stoliku, gdy chce bywać w towarzystwie, albo też nigdzie nie bywać i nikogo u siebie nie przyjmować... I co tu wybrać?

Ale wróćmy do prostego ludu, gdyż karciarstwo w tej sferze może sprowadzić wielki upadek moralności na przyszłość. Ludek nasz i tak nie celuje przymiotami. Jedna tylko pobożność jest u niego większa niż gdzie indziej, szulerka wszakże i ten przymiot z czasem poderwać może, chłopak bowiem wiejski grając w karty całą noc z soboty na niedzielę, niechętnie spieszy do kościoła. Zresztą trzebaby wytrawnego pióra, dobrego psychologa, znakomitego obserwatora, aby należycie odmalować to złe, jakie wynika z szerzenia się wśród naszych prostaczków gry w karty. Trzebaby zebrać dane statystyczne o rodzajach gry, o wysokościach stawek — o tem, kto się przeważnie grze oddaje: czy młodzież?... i t. p., aby mieć należyty obraz szerzącego się zła.

«Kto nie szuka rozrywki, jest chory na ciele albo na umyśle» — powiedział mędrzec starożytny, a i Cycero mówi: że umysł ludzki «buduje rozmaite rozrywki, w którychby mógł swobodnie po pracy odpocząć.» Wieśniak nasz ciężko pracuje, słusznie tedy należy mu się rozrywka. Karty są jednak nieodpowiednie.

Cóż więc dać ludowi w miejsce kart?

Dawniej w niedzielę i święta młodzież zwykle zbierała się w karczmach i przepędzała czas na tańcach. Zapewne, że takie schadzki młodzieży obojej płci, przeciągane długo w nocy, nie mogły wpływać dodatnio na moralność. Dziś gorliwość kapłańska zniosła tańce. Już bardzo rzadko usłyszymy grajka wioskowego w karczmie i tańczącą młodzież. Odebrano zatem młodzieży jedyny rodzaj rozrywki, a nic jej w to miejsce nie dano. Nic więc dziwnego, że młodzież z taką chciwością rzuciła się do kart.

Według nas, tu właśnie leży przyczyna złego. I muzyka wiejska i taniec młodzieży nie powinny się uważać za coś złego, co tępić należy. I dlatego zdaje nam się, że niektórzy z naszych kapłanów w zrozumiałej zresztą i chwalebnej gorliwości, nie odpowiednio postępują, zabraniając tańców i muzyki. Bo co bardziej jest demoralizującem — taniec czy gra w karty? Czy przez usunięcie tańca zwiększyła się moralność danej okolicy? Czy taniec jest w rzeczy samej tak absolutnie godzien potępienia? Odpowiedź na to pytanie zostawiam tym, którzy dłużej zajęci są pracą pasterską, a zatem nie wypowiedzą książkowej teoryi, lecz wysnują realne życiowe wnioski. Co do mnie — wolałbym już chyba taniec, byle nie w nocy i byle pod okiem starszych, niż namiętną grę w karty.

Zdaje mi się też, iż skutecznym antydotem przeciw grze w karty byłyby kółka śpiewackie, złożone z młodzieży parafialnej. Kółko takie podnosiłoby chwałę Bożą w kościołach i byłoby godziwą i szlachetną rozrywką dla ludu po całotygodniowej ciężkiej pracy."

Z opowieści wschodnich. Piękna Thugater wraz z braćmi doiła krowy swego ojca, a doiła bardzo dobrze, tak, że przynosiła do domu mleko najtłustsze. Bo wiadomo, że śmietanka nawet w wymieniu wypływa na wierzch, tak, iż kto doi najdłużej, doi najlepiej, kto zaś doi krótko a niedbale, ten wydoi pierwsze mleko, ale pozostawi w wymieniu śmietankę

Pewnego dnia bracia Thugater, którzy dotychczas doili krowy zawsze niedbale, rzucili dzbany o ziemię.

— Ojciec mój nauczył mnie strzelać z łuku — rzekł pierwszy z braci — pójdę w świat i zacznę pracować na siebie!

— Ojciec mój nauczył mnie łowić ryby — rzekł brat drugi — byłbym głupcem, gdybym nie zużytkował tego dla mnie samego!

— Ojciec mój nauczył mnie wyrabiać łódki — rzekł brat trzeci — popłynę w dal i zobaczę, co się dzieje z drugiej strony jeziora!

— A ja — rzekł brat czwarty — pojmę za małżonkę białolicą Cuue, będę miał dom i córki, które za mnie doić będą krowy!

Thugater jedna milczała.

— Ojcze! — rzekli synowie — pójdziemy w świat.

— A kto będzie doił moje krowy?

— Thugater.

— Ba! A jeżeli i ona zechce iść w świat?

Synowie pomyśleli trochę i rzekli:

— Ojcze! nie ucz jej niczego, a wówczas będzie doiła ci krowy aż do końca życia. Nie pokazuj jej, jak naciągnięta struna strzałę wyrzuca, a nie będzie miała ochoty do polowania; ukrywaj przed nią, że ryby łowią się na wędkę, a nie będzie miała wyobrażenia o łowieniu ryb; nie ucz jej drążyć pni drzewnych, a nie nauczy się sztuki budowania łodzi; ukrywaj przed nią, że mogłaby mieć dom własny, a wówczas pozostawać będzie u ciebie.

Ojciec zasępił się i rzekł:

— Czyż myślicie, że Thugater sama nie dowie się o tem wszystkiem? Czyż nie dostrzeże, że sznur od kądzieli obraca kółko, gdy się naprężу? Czyż nie zobaczy muszki, pływającej na liściu? Czyż nie zwróci nigdy uwagi na gniazdko słowika w krzaku?

Synowie myśleli, aż rzekli:

— Jeżeli sama dostrzeże to wszystko, powiedz jej, ojcze że dziewczynie z tem wszystkiem... nie do twarzy.

Ojciec wypogodził oblicze, albowiem teraz już wiedział, czem po odejściu synów zatrzyma Thugater w domu..

Stan powietrza. T. o 9 rano — 10° R., w poł. — 5° R. Bar. 757. Spada. Prześliczna pogoda.

Nasze dzieci.

— Czy mama jest w domu?

— A czy pan jest bocian?

— Dlaczego?

— Bo ciocia powiedziała, że do mamy zaraz przyjdzie bocian.

Teatr. Dziś we środę po raz pierwszy „Wesoły Ignaś" (Der Nazzi), krotochwila ze śpiewami w 5 odsłonach Lindaua i Krenna. Jutro we czwartek „Favorita", opera w 4 aktach Donizetti'ego. Pierwszy występ pani Aleksandry Dąbrowskiej, prima donny opery warszawskiej. W piątek po raz drugi „Wesoły Ignaś".

Literatura i Sztuka.

* **Z opery.** Jutro wystąpi po raz pierwszy na scenie naszej p. Aleksandra Dąbrowska w „Favoricie". Śpiewaczkę tę poprzedza rozgłos ze sceny warszawskiej, na której od kilku lat zajmuje pierwszorzędne stanowisko. Krytyka warszawska z najżywszem uznaniem odzywała się o każdym występie znakomitej śpiewaczki, która w wielu partyach — jak „Favorita", „Amneris", „Santuzza" itd. — ma być niezrównaną.

* **P. Kruszelnicka**, śpiewaczka, która w minionym sezonie operowym śpiewała na scenie naszej, a w lecie ubiegłego roku zbierała laury w Krakowie, zaangażowaną została do teatru „Ponchielli" w Kremonie.

---

wrażenie. Nie można jednak zgodzić się zrozpaczliwą tendencyą dzieła, i przystać na szarpiące słuchacza dysonanse, które podyktowała gorycz twórcy.

O Tinela oratorium „Św. Franciszek" tyle rozpisywano się w Niemczech, że jego wystawienie w Wiedniu uważano za ważny wypadek. Edgar Tinel liczy dziś 41 lat, urodził się i żyje w Belgii jako nauczyciel muzyki kościelnej. W ojczyźnie jego znają — jak piszą — dokładnie cały szereg utworów na śpiew, fortepian i orkiestrę. W Niemczech wielką sławę zjednało mu oratorium, o którem wspomniałem, a które wystawiono po raz pierwszy przed 5 laty w Frankfurcie nad Menem. Przedewszystkiem zarzucić możnaby kompozytorowi sam wybór tematu. Ś. Franciszek za mało ma dramatyczności w swem życiu. Kompozytor przedstawiał go w towarzystwie wesołem, kiedy wtem pod wpływem głosu z nieba, odwraca się od uciech wszelkich i ślubuje, po rozdaniu pieniędzy między ubogich, czystość i ubóstwo; potem poszczącego, modlącego się i udręczającego swe ciało, wreszcie maluje śmierć jego i pogrzeb. Muzyka w ramach takich nie mogła być dość różnolitą, najświetniejsza zaś instrumentacya — a pod tym względem Tinel stoi bardzo wysoko — nie wynagrodzi czaru świeżości i oryginalności motywów, którego w dziele nie ma.

Na scenie też nie wiele muzyki nowej. Opera nadworna wystawiając „Dziewczynę z Nawary" Masseneta zbogaciła tylko swój repertoar nowowłoski o jeden jeszcze utwór werystyczny. Massenet chciał widocznie dowieść, że to samo potrafi, co Mascagni i Leoncavallo. Chodziło więc przedewszystkiem o tekst krwawy i bardzo „dramatyczny." „Dramatyczność" ta w operze polega na tem, żeby wypadki szybko po sobie następowały — a jeśliby psychologiczny kierunek dramatu zwyciężył w teatrze, opera nie miałaby czem żyć, bo śpiewanej analizy duszy nie usłyszymy chyba nigdy tak samo, jak śpiewanej geometryi z towarzyszeniem orkiestry i algebry nikt nam nie wystawi na scenie.

Otóż w „la Navarraise" mamy jeszcze akcyę wystrzałów, zabójstw i obłąkania. Anita chcąca zdobyć nagrodę na posag i małżeństwo z ukochanym sierżantem Araquilem, nagrodę, wyznaczoną na głowę przewódzcy powstańców hiszpańskich Zuccaragi, skrada się do obozu buntowników i zabija Zuccaragę. Araquil, podejrzywając schadzkę miłosną, wpada za nią między wrogów i ugodzony śmiertelnie kulą, wraca niebawem, aby Anicie wyrzucać zdradę i przed samym skonem dopiero dowiedzieć się, że niesłusznie skrzywdził kochankę. Anita pada bez zmysłów obok jego trupa i obłąkaniem jej kończy się tragedya.

Że Masseneta muzyka mimo tej na nerwy działającej treści, ma ustępy świetne, że nokturn n. p. służący za intermezzo między dwoma aktami, jest perłą wszystko, to nie wynagrodzi przygnębiającego wrażenia, które robi podporządkowanie całej kompozycyi pod wrzaskliwość akcyi. Ale to jest wielki problemat opery w ogóle. Czy można dojść do współrzędności słowa i śpiewu, akcyi i orkiestry? Zdaje się, że nie. Zgodzić się wypadnie na przewagę jednego ze składników muzyki scenicznej zawsze chyba — a jeśli się nie zgodzimy, opera żyć przestanie.

Nowa operetka Straussa była dla Wiedeńczyków, przywiązanych tak do swojego 70 letniego muzyka, zdarzeniem wielkiem. „Napój majowy" (Waldmeister) będzie dla teatru nad Wiedenką istną wygraną główną sezonu. Choć Strauss nie jest już tak niewyczerpanym w swych dźwięcznych melodyach, które roztrwaniał dawniej w operetkach, zawsze jeszcze jego walce, duety, kuplety pełne zalotności i zmysłowe i pogodne zarazem, czarują wiedeńskiego słuchacha. Już kuplety, które śpiewa Girardi w nowem dziele Straussa, obiegają po całej stolicy, już walc: „Patrz, komu wierzysz!" prześladuje nas na rogu każdej ulicy: mruczą go, śpiewają, świstają i bębnią na fortepianach.

Treść główna da się w kilku słowach opowiedzieć. Frydryka, córka urzędnika ma wyjść za radzcę leśnego Tymoleona Geriusa. Przekłada ona jednak młodego elewa gospodarstwa leśnego, Botona de Wendt. Tymoleon, który nagadał był w towarzystwie o pięknej jednej, a słynnej śpiewaczce, Paulinie, niestworzone rzeczy, spotyka ją podczas burzy, w której grono pań i panów schroniło się do młyna. W młynie tym mężczyźni i kobiety zmoczeni do nitki przebrali się i Tymoleon pięknej śpiewaczki w kostyumie młynarki nie poznał. Kokieteryą jej uwiedziony, zaczął z nią romansować — a skutkiem tego w chwili stanowczej, kiedy zaręczyny Tymoleona się odbywają z Frydryką, Paulina i partner jej, profesor saski, który udaje młynarza, zjawiają się i przypierają biedaka do muru oskarżeniami, że zakłócił ich pożycie małżeńskie. Oto oś zawikłań, kończących się, jak zawsze kilku — ślubami.

Oper komicznych, za któremi publiczność tęsknić już zaczyna, nie ma. Znikł humor podgodny kompozytorów — na gruncie Wagnerowskich reform trudno bardzo o szczerą wesołość. Szuka się tedy starych utworów. W operze nadwornej wznowiono Boildieu'ego od 30 lat nie grane dzieło „Le petit chaperon rouge". Ale jakkolwiek w niektórych ustępach muzyka opery tej nie straciła jeszcze wielkich swych zalet z przed lat 77, całość wydać się musi dzisiejszemu słuchaczowi przywykłemu do silniejszych wrażeń, wyblakłą i powszednią. A treść jest wprost dziecinną. Rózia, córka siostry barona Rudolfa wychowała się wśród wieśniaków i jako 18 letnia piękna dziewczyna wiejska wpadła w oczy Rudolfowi, który nic o jej pochodzeniu nie wie. Prześladuje ją swoją miłością, a posiadając pierścień cudowny, który kruszy serca wszystkich kobiet, z pewnością wygrałby sprawę o niewinną dziewczynę, gdyby nie jej talizman, czapeczka czerwona (chaperon rouge), chroniąca ją przed uwiedzeniem. W celi eremity zasadził się on wreszcie na nią i przebrany za pustelnika, bałamuci Rózię w sposób niebezpieczny. W chwili tej drażliwej przychodzi eremita i wyjaśnia uwodzicielowi, że Rózia jest jego siostrzenicą. Rózia wychodzi za hrabiego, którego pokochała myśląc, że to pasterz i bajka skończona.

Nie jesteśmy już dziś tak naiwni, abyśmy wierzyli w talizmany. Ale i w stare typy włoskiej komedyi, które były niegdyś rozkoszą tysięcy widzów, słuchaczów, nie wierzymy więcej. Toż i opera komiczna Józefa Haydna „Le speciale" (aptekarz), mimo, że z trzech jej aktów zrobiono jeden i że wystawiono ją w teatrze Carla siłami drezdeńskiej opery dzięki staraniom księżniczki Metternich, zwróciła jedynie uwagę jako osobliwość i jako dzieło jednego z największych muzyków, którego dzieła sceniczne wcale nie są znane. Rzecz cała obraca się dokoła znanej a niezliczone razy wyzyskanej intrygi zasadzającej się na tem, że opiekuna pięknej dziewczyny Griletty, wuja jej, aptekarza Sempronia chcącego ją poślubić, dwaj młodzi ludzie zwodzą najniemożliwszemi sposobami, fałszowaniem aktów notaryalnych, przebieraniem się za Turków i t. d., aż wybrany przez dziewczynę i szczęśliwy jej kochanek Mengone bierze ją za żonę. Opera pisana była w r. 1768 dla teatru księcia Esterhazego i od tego czasu tylko w prywatnych kołach czasem była wystawianą. Po 126 latach w roku ubiegłym drezdeńska opera nadworna wydobyła ją z ukrycia i opracowawszy tekst za długi, z wielką wznowiła wytwornością.

Teraz w tem samem opracowaniu poznał ją Wiedeń. Niestety opera tutejsza jest za wielka na takie utwory cichej, bezpretensyonalnej wesołości. Haydn zawsze jest wielki, dzisiejsza publiczność tylko jest mała, choć większa co do liczby. Musiano utwór wystawić w Carla teatrze, mniejszym oczywiście od opery nadwornej i na powtórzenie jej nie ma ani sił stosownych ani nawet czasu wśród repertoaru różnych „Modelek" i „Prima-Ballerin", któremi nas częstują w tym teatrze, a które przerwała w tej chwili pani Judic swoimi występami gościnnemi.

Dr. H.

* **Kronika teatralna.** Warszawa w roku ubiegłym obchodziła cały szereg jubileuszów, między którymi jednym z najsympatyczniejszych był jubileusz Edw. Lubowskiego, obchodzącego w ostatnich dniach roku trzydziestolecie swej pracy litrackiej. Edward Lubowski, urodzony w Krakowie — przyjaciel lat młodych, kolega i towarzysz prac Szujskiego, Grottgera, Matejki, naszych największych geniuszów ostatniej doby — w roku 1865 przeniósł się do Warszawy, gdzie wówczas wrzała walka między starymi i nowymi prądami, poglądami i kierunkami w literaturze, sztuce i nauce. Poprzedzony uznaniem, jakie mu wyrobiły prace umieszczone w lwowskim *Dzienniku literackim* i w krakowskiej *Niewieście*, która wtedy koncentrowała najwybitniejsze siły literackie, wstąpił zaraz po przybyciu do Warszawy w szeregi walczących.

Więcej spokojny i skłonny do refleksyi umysł nie pozwolił mu poświęcić się pracy dziennikarskiej, zasilić zastęp bojowników pióra, torujących z całą werwą i całym zasobem energii drogę prądom nowym lub broniących z niemniejszą wytrwałością i siłą prądów „starych". Zamiłowanie do badania kwestyi więcej estetycznej natury powodowało go do studyów głębszych i poważniejszych, których owoce umieszczał w *Kłosach* i w *Bibliotece warszawskiej*. Ale i w dziennikarstwie pracował wiele, chociaż nie stale. Recenzye teatralne, sprawozdania literackie i naukowe, felietony w sprawach bieżących, wszystko to znalazło w Lubowskim tęgiego pracownika o oryginalnym talencie. Jako powieściopisarz odznaczył się również chlubnie, że tylko zwrócimy uwagę na wydane pod pseudonimem Boleja Kruta utwory powieściowe: „Na pochyłości," „Krok dalej" i in. Ale tu już charakterystyczne właściwości jego umysłu występują wybitnie. Postacie powieściowe w utworach Lubowskiego zarysowane są tak plastycznie, iż zdaje się jakoby autor, pisząc powieść lub nowelę, myślał o... scenie.

To też scena była polem, które Lubowski uprawiał i uprawia z największem zamiłowniem i z największym sukcesem. Każdy jego utwór dramatyczny odznacza się szerokością poglądów, głębokością bronionej tezy, myślą poważną, dążeniem do rozwiązania jakiegokolwiek zagadnienia społecznego lub psychologicznego. „Karyery" i „Ubogi w salonie" rozpoczynają długi szereg dramatycznych prac Lubowskiego, że wymienimy tylko: „Nietoperzy", „Przesądy", „Pogodzonych z losem", „My się kochamy", „Osaczonego", „Sąd honorowy", „Przyjaciółkę żon" „Jacusia", wreszcie ostatnie: „Bawidełko." Komedye Lubowskiego, to komedye typów, szczególnie typów ujemnych, których w nich mnóstwo: potwarców, plotkarzy, intrygantów, samolubów, czcicieli złotego cielca itp. Ale nie jest Lubowski bezwzględnym pesymistą, patrzącym na świat przez czarne okulary; jest on satyrykiem, ale satyrykiem pogodnie i nieco ironicznie się uśmiechającym, obserwatorem ściśle i umiejętnie studyującym otaczające go społeczeństwo, a przytem idealistą, propagującym gorliwie swoje ideały artystyczne, literackie i społeczne.

Jubileusz Lubowskiego obchodziły sfery literackie i artystyczne Warszawy bankietem, urządzonym dnia 28 zm. w salonach hotelu Europejskiego. Szereg przemówień rozpoczął sędziwy Adam Pług wskazując na ogólną sympatyę, jaka jubilata otacza, i imieniem zgromadzonych wręczył mu w upominku złote pióro i srebrny kałamarz, aby jubilat „mając je przed oczyma, pamiętał że mu talent dał złote pióro, z pod którego powinny płynąć coraz nowe, świetne utwory na chwałę i wzbogacenie piśmiennictwa i sceny naszej". Następnie przemawiali: K. Zalewski, M. Gawalewicz, Ks. Z. Chełmicki, J. Wieniawski, B Ładnowski, M. Frenkiel, J. M. Kamiński, Bogdanowicz i i. Z nadesłanych bez liku listów i telegramów na szczególną uwagę zasługuje list H. Sienkiewicza, zawierający następną charakterystykę jubilata: „Nie dość, by ziemia miała w sobie żyłę złota — trzeba to złoto w pocie czoła na wierzch wydobyć, albowiem wówczas dopiero pomnoży ono bogactwo ludzkie. Takim pracownikiem był Lubowski. Przyrodzonych swych bogactw nie zmarnował. Przez trzydzieści lat pracy wydobywał je z głębi własnej duszy i dawał nam je — nie pod postacią błyskotliwego piasku, który rozprasza się i ginie, ale w bryłach. Scenę podpierał, literaturę dramatyczną podtrzymywał, nie oszczędzając sił, jakiemi obdarzyła go natura — i pracując bez wytchnienia został weteranem nie z lat, ale z zasług."

Mamy nadzieję, że pełen sił i werwy jubilat nie spocznie na zdobytych trzydziestoletnią pracą laurach, tak samo, jak nie spoczął na nich W. Zalewski, który również niedawno obchodził swój jubileusz, a którego „Syna" przedstawił niedawno teatr wielki w Warszawie.

Oto treść tej — jak ją autor nazywa — „sztuki": Pan Olkszycki właściciel milionowej fortuny, młody i bezżenny, miał stosunek z ubogą dziewczyną, stosunek, który nie pozostał bez śladów. A więc p. Olkszycki chcąc zatrzeć ślady romansu wyszukuje w jednym z szpitali suchotnika Koresza, który idzie do ślubu z uwiedzioną przez Olkszyckiego dziewczyną. Po ślubie tytularny ten mąż wraca do szpitalu i w dwa tygodnie umiera, pozostawiając po sobie syna, noszącego jego nazwisko. Pani Koreszowa po śmierci pierwszego męża wychodzi powtórnie za mąż. Drugi mąż nie znając naturalnie przeszłości swej żony jest idealnym ojczymem dla swego pasierba, a raczej ojcem kochającym i poświęcającym się dla syna swej żony z pierwszego małżeństwa. Młody Koresz nie wie nic o swem pochodzeniu właściwem, wyrasta na tęgiego, zdolnego i sympatycznego młodzieńca, kończy uniwersytet i poświęca się karyerze prawniczej.

Olkszycki tymczasem zapomniał o wszystkiem, później popadł w chorobę i bliskim był śmierci, a osamotnionego otaczali boczni krewni, Dęboradzki i Klaporzewscy, wyczekując śmierci i spadku; nie mogąc zaś dobrowolnie ułożyć się nawzajem o podział spadku, kopali pod sobą dołki. Klaporzewska, dowiedziwszy się o Koreszu, w wyrachowaniu swem usidliła go, a potem podsunęła Olkszyckiemu wspomnienia, które go rozrzewniły; następnie ułożywszy się z Bałaszyńską, w tajemnicy przed Koreszem, zręcznie sprowadziła oboje pod pretekstem dawnej wielkiej przyjaźni Olkszyckiego z ojcem Koresza. Wdzięczny jej za to Olkszycki, radząc się, objawił pragnienie zatrzymania Koresza przy sobie, co w nim niejakie obudziło podejrzenie. Czujny Dęboradzki, a raczej jego plenipotent, Polkiewicz, urządził kontrintrygę i odkrywszy wszystko Bałaszyńskiemu, rozżaliwszy go przeciw żonie, sprowadził do Olkszyckiego, w chwili, gdy ten był już otoczonym Bałaszyńską i Koreszem, Klaporzewskiemi i Dęboradzkim, oraz służącym, a w drugim pokoju sprowadzony notaryusz oczekiwał na przywołanie, by spisać testament. Bałaszyński, poczciwiec, ale safanduła i lubiący piwko, nieopatrznie przy wszystkich, wytoczył swoje żale. Wtedy Olkszycki, wyraźnie uznając w Koreszu syna, gorąco powtórzył swoje pragnienie zatrzymania go przy sobie i obdarzenia go zapisem testamentowym. Koresz, który dotąd nie wiedział, że Olkszycki jest jego ojcem, dumnie odmawia temi słowy: „A ja w panu nie uznaję mojego ojca, wpierasz się do mnie, ja cię odrzucam, za hańbę matki chcesz mi płacić majątkiem, ja nim pogardzam, kłamaliście od mojego urodzenia aż dotąd... Nie dość wam własnej niesławy, wy ją chcecie rzucić na mogiłę tego, który tam gdzieś leży daleko na cmentarzu... to mój ojciec, bo jego nazwisko noszę.. i będę bronił jego czci, bo to cześć moja... Nie wyrzeknę się go za wszystkie miliony... A któż pójdzie — kończy zwracając się do ojczyma — za tym starcem, przybitym i złamanym, kto córkę jego obroni, gdy jej świat hańbę matki wyrzucać będzie... Czemże ja ci zapłacić mogę, za to serce ojca, jakie mi dawałeś? Czemże ci wynagrodzę winę mojej matki? Szlachetny jesteś, przebaczysz jej, a wtedy powrócimy wszyscy do naszego cichego, spokojnego życia, z którego nas wyprowadzono po to, ażebyśmy byli narzędziami w rękach dwóch stron walczących o bogatą sukcesyę". Po tym gromie, Olkszycki, zbolały, przeznacza majątek na zakład opuszczonych przez rodziców dzieci.

Jest to więc rzecz tendencyjna. Zalewski porusza w swej sztuce kilkakrotnie już obrabiany przez różnych autorów temat, ale — jak świadczą sprawozdania dzienników warszawskich — przedstawia go w formie zupełnie doskonałej pod względem technicznym; charakter i indywidualność występujących na scenie osób rzeźbi tak wypukło, z takim artyzmem i prawdziwością, że tworzy całość zadowalniającą najwybredniejsze wymagania. Temat sam w sobie może być nawet zużyty, skoro go jednak pochwyci ręka mistrzowska, to nawet *eine alte Geschichte bleibt doch ewig neu.*

W teatrze krakowskim wystawiono na święta Bożego Narodzenia „Szklanną górę", baśń sceniczną w 3 aktach a 5 odsłonach Zygmunta Sarneckiego z muzyką Seweryna Bersona. Sztukę tę przyjęto bardzo przychylnie. Przyczyniła się do tego nie mało bogata wystawa i sprytne wyzyskanie wszystkich urządzeń mechanicznych sceny, a w ramach takich baśń Sarneckiego, dzieło o poważnej wartości literackiej, ubarwiona świetnie instrumentowaną muzyką krakowskiego kompozytora okazała wszystkie swe niepospolite zalety.

Treść „Szklannej góry", to zręczne złączenie całego szeregu polskich baśni i podań, szkieletem zaś porwanie królewicy Różolicy z rąk żaka Janka, który ją po pobiciu Boruty w turniejach od króla Swita za żonę otrzymał, i uwolnienie jej ze „szklannej góry", gdzie przez Borutę uwięziona, na smoku ognistym uprowadzoną i w sen zaklętą została. Jankowi zaś pomocnym jest głupi Maciuś Piecuch. Temu ostatniemu, szczupak, uratowany od śmierci, darował w zamian za życie, zaklęcie, które Maciusiowi spełnienie wszystkich życzeń umożliwiało. Za pomocą tego zaklęcia i podobnej siły Boruty dzieją się najrozmaitsze, cudowne rzeczy. Zjawiają się więc na scenie smoki, latające konie, mówiące sowy i chrząszcze, miotły bijące, stoły nakrywające się, sierp księżyca, na którym Boruta posadził Maciusia Piecucha i królewnę Sapiomiłę, ludzie zapadają się i t. d.

Muzyka Seweryna Bersona w oryginalnej inwencyi i bogatej melodyjności ilustruje charakterystycznie najważniejsze momenta akcyi. Pomijając ustępy melodramatyczne i ślicznie przeprowadzony motyw miłosny, znajdujemy w 42 numerach partytury pieśń rybaków, poloneza, śpiew i taniec czarownic, balladę i piosnkę Maciusia, o wybitnie polskim charakterze, dalej zabawę ludową (balet), marsz rycerski, muzykę senną itd. S Berson wystąpił tu z dziełem samodzielnem, artystycznem i wypracowanem.

W teatrze Nowym w Berlinie cieszy się wielkiem powodzeniem sztuka ludowa p. t.: „Braciszek Marcin" Karola Costy, z muzyką Maksymiliana Weinzierla. Osnuta na wcale szczęśliwym pomyśle, pomimo miejscami ciężkiej i niezręcznej roboty scenicznej, ogółem wziąwszy, czyni wrażenie dodatnie, głównie dzięki postaci sympatycznej braciszka Marcina, żywem drgającej życiem i dzielnie skreślonej.

Treść sztuki jest następująca: Młynarz, Kemlinger, poważnił się ze swoją żoną, Lili, którą posądza o niewierność; sam również jest posądzany o niewierność przez żonę, która podejrzliwem okiem spogląda na umizgi jego do pięknej służącej w domu. Nieporozumienie pomiędzy małżonkami do takiego już doszło zaostrzenia, że katastrofa ostateczna zdaje się nieunikniona, gdy nagle zjawia się poczciwy braciszek Marcin, znany z dobroci serca i jowialności. Opowiada on małżonkom, że znany mu jest w lesie młyn, a w tym młynie spichlerz, a w tym spichlerzu otwór w ścianie, przez który patrząc, małżonkowie ujrzeć mogą albo siebie samych, albo połowice swoje. Osoby, które się im ukażą, w roku bieżącym umrzeć muszą. Sprytny braciszek nocą sprowadza oboje małżonków do owego młyna. Mężowi przez otwór ukazuje się żona, żonie mąż. Zawiść, którą do siebie żywili, w oczekiwaniu śmierci zanika, a że w gruncie rzeczy szczerze się kochali, boleją nad grożącą przez śmierć rozłąką i godzą się, a braciszek Marcin kontent z swego fortelu zaciera ręce.

Paryski znany teatr Gymnase wystawił przed samemi świętami nową sztukę Wiktoryna Sardou: „Marcella". Krytyka przyjęła ją z zastrzeżeniami, to jest uznała wielką zręczność, techniczne majsterstwo starego praktyka, ale stwierdziła pospolitość i pewne przedawnienie założenia, brak głębszej myśli i zastanowienia nad zagadnieniami psychologicznemi. Niegdyś zalety techniczne wystarczyłyby, dziś, od lat kilku, dzięki młodej szkole, wychowanej przez Théâtre Libre, wymagania wzrosły znacznie.

Podaliśmy już w poprzednim numerze bliższe wiadomości o nowym utworze sławnego swą gonitwą za efektami pisarza francuskiego.

SEJM.

(VIII posiedzenie z 15 stycznia 1895.)

Dzisiejsze posiedzenie otworzył Marszałek o godz. 10 min. 30 przed poł. Sekretarz odczytuje szereg petycyi.

P. **Pohorecki** popiera petycyę komitetu, starającego się o utworzenie internatu dla uczniów seminaryum nauczycielskiego w Tarnopolu — p. Andrzej hr. **Potocki** zaś popiera petycyę gminy Alwernia o utworzenie sądu powiatowego, wyrażając życzenie, aby komisya prawnicza jeszcze w tej sesyi tę petycyę załatwiła.

Przystąpiono do porządku dziennego.

P. **Rotter** uzasadnia w dłuższej przemowie swój wniosek, który wczoraj podaliśmy w naszem piśmie (tyczy się on zniesienia dwoistości odrębnego kierunku wychowania młodzieży w gimnazyach a w szkołach realnych).

Mówca kreśli najprzód rozwój usiłowań zniesienia tej dwoistości w poprzednich kadencyach sejmowych. Wychowanie w szkołach średnich rozdziela prawie nasze społeczeństwo na dwie grupy, z których każda ma jakieś plus w obec drugiej, a naturalnie i minus. Ci, którzy pobierali w swoim czasie nauki w szkołach realnych, nauczyli się języków nowożytnych (francuskiego i angielskiego), poznali głębiej nauki przyrodnicze i zapoznali się z elementami sztuki rysowania. Gimnazya zaś ograniczają swoją naukę na język niemiecki i języki klasyczne. Na zewnątrz te dwie grupy działają wprawdzie solidarnie, ale wewnątrz społeczeństwa stają nieraz naprzeciwko siebie w tem znaczeniu, że różne kierunki wykształcenia wytwarzają inne zapatrywania na sprawy ogólne i społeczne.

Mówca podnosi jako przykład szczególnie jedną stronę tej szkodliwej dwoistości: oto gimnazya mają wielką lukę w braku nauki rysunków. Wskutek tego wychowankowie gimnazyów natrafiają w praktycznem życiu na trudności w rozumieniu dzieł sztuki, a szkodzi to jak mówca na przykładach wykazuje, tak teologom, jak prawnikom, a szczególnie profesorom filologom. Z wielką energią przemawia mówca przeciwko językom klasycznym, wniosek jego jednak nie zmierza na razie do zniesienia tych języków w szkołach.

We wszystkich zawodach spotkać można złe skutki dzisiejszego wadliwego ustroju szkół średnich. Jako sędzia przysięgły np. był mówca świadkiem następującego wypadku: Sprawa toczyła się o podpalenie. Przewodniczący chciał skonstatować, z której strony dął wiatr w czasie pożaru, zapytał więc o to przesłuchiwanego jako świadka żandarma, a ten odpowiedział, że wiatr dął w kierunku wschodnio-zachodnim. Wywołało to oczywiście ogólną wesołość, ale niemniejszą wesołość wywołał szkic sytuacyjny, który przewodniczący rozprawy narysował. Lepszego nie mógł narysować, gdyż w szkołach nie uczył się rysunków.

Tak samo i sposób nauczania na wydziale filozoficznym jest wadliwy. Nie odpowiada zwłaszcza celowi sposób nauczania filologii klasycznej, gdyż nie wyrabia poglądów estetycznych, ani nie uczy pojmowania starożytnej sztuki.

Inaczej zapatrywała się na zadanie szkoły średniej nasza komisya edukacyjna. Ona na pierwszym planie kładła użyteczność, a znała tylko jednolitą, siedmioletnią szkołę średnią. Języka greckiego nie uczono w niej wcale, ale natomiast udzielano nauki o zdrowiu, o kunsztach i rzemiosłach, a przedewszystkiem uczono dobrze języka ojczystego. Wykształcenie całe było oparte na języku ojczystym i tak być powinno. Przez czytanie doskonałych tłómaczeń starożytnych autorów młodzież szkolna o wiele więcej zyska, aniżeli przez dzisiejsze sylabizowanie wyjątków ze słownikiem w ręku.

Jednem słowem dwoistość dzisiejszą należy koniecznie usunąć, a Sejm w pierwszej linii powołany jest do żądania tego. (Oklaski.)

Wniosek p. Rottera przydzielono do komisyi szkolnej.

Z kolei nastąpiło sprawdzenie wyboru p. Rudrofa z kuryi mniejszej własności powiatu czortkowskiego.

Przeciw zatwierdzeniu tego wyboru przemawiał dość hałaśliwie p. Okuniewski i wytaczał rozmaite skargi na nadużycia, jakie wrzekomo miały się dziać przy tym wyborze.

Po przemówieniu komisarza rządowego hr. Łosia, tudzież członka Wydziału krajowego p. Chamca, którzy wykazali bezpodstawność zarzutów p. Okuniewskiego, Izba ogromną większością odrzuciła jego wniosek o odstąpienie tej sprawy Namiestnictwu do zbadania a uznała ten wybór za ważny.

Nastąpiło sprawozdanie komisyi budżetowej o zamknięciu rachunkowem funduszu krajowego za r. 1894. Sprawozdanie to przedkłada p. Goldman. Sejm przychylił się do końcowych wniosków sprawozdania mianowicie: aby udzielono Wydziałowi krajowemu absolutoryum z rachunków funduszu krajowego, funduszów dotowanych ze skarbu krajowego i funduszów samoistnych budżetem objętych, złożonych za rok budżetowy 1894, 2) aby to absolutoryum udzielone Wydziałowi krajowemu obejmowało także absolutoryum dla Rady szkolnej krajowej z działu wydatków funduszu szkolnego krajowego. i 3) aby pozostałość z rachunków roku 1894 w sprawdzonej wysokości 335 941 zł. przeniesiono na rok 1896 i wstawiono do budżetu roku 1896 jako pozycyę I. dochodów.

Z kolei przyszło pod obrady sprawozdanie wyboru ks. Homoraka z kuryi mniejszej własności okręgu śniatyńskiego.

Przeciw uznaniu tego wyboru za ważny, przemawiał radykał ruski włościanin Nowakowski, ale poparło go zaledwie trzech lub czterech posłów.

Członek Wydziału krajowego p. Chamiec wykazał, że gdyby nawet wszystkie zakwestyonowane głosy uznano za nieważne, to zawsze jeszcze otrzymał ks. Hamorak absolutną większość głosów, bo 106 przeciw 45.

Wybór ks. Hamoraka uznano za ważny, poczem przystąpiono do sprawdzenia wyboru p. Apolinarego Jaworskiego z okręgu złoczowskiego.

Przeciw zatwierdzeniu tego wyboru przemawiał włościanin ruski p. Ostapczuk, a raczej odczytywał całą swą mowę z przygotowanego manuskryptu. Ale i to czytanie nie szło mu bardzo sporo.

Po kilku minutach tej lektury przerwał mu marszałek krajowy, wzywając go, aby czytał przynajmniej w ten sposób, by można było choć trochę śledzić tok jego wywodów.

Po tem upomnieniu poseł Ostapczuk zdjął z nosa okulary i zaczął już tylko opowiadać, zerkając tylko co chwilę do manuskryptu.

Debiut ten oratorski włościanina i radykała podolskiego wypadł bardzo niefortunnie. P. Ostapczuk postawił nareszcie wniosek, aby akta tego wyboru odstąpiono Namiestnictwu do zbadania.

Marszałek zapytał, kto popiera ten wniosek, ale nie podniosła się w izbie ani jedna ręka nawet ruscy posłowie trzymali swoje ręce w kieszeniach, rezygnując z góry ze wszystkiego.

To całe intermezzo, urządzone przez ruskich radykałów, potępia w ostrej przemowie p. Karol hr. **Dzieduszycki**, ubolewając, że mówcy poprzedni, niby rzecznicy ruskiego narodu, występują nawet przeciw wyborowi naturalnych kierowników ludu, jakimi są księża.

P **Okuniewski** bronił p. Nowakowskiego, wytłómacząc, że poseł ten nie uderzał na osobę księdza, lecz tylko na nieprawidłowości przy wyborach.

Po przemówieniu sprawozdawcy p. Chamca, w którem udowodnił, że zarzuty p. Ostapczuka są tylko wiązanką pogłosek, uznała Izba wybór p. Jaworskiego za ważny.

Godzina 1sza, posiedzenie trwa dalej.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 13 stycznia.

(Z.) Już wczoraj w prywatnym obrocie, zwłaszcza w Peszcie, widoczne było znaczne zaniepokojenie spekulantów giełdowych. Rozeszła się bowiem pogłoska, że na radzie ministeryalnej w Londynie postanowiono dążyć do utworzenia nowego trójprzymierza, w skład którego weszłaby Anglia, Francya i Rosya i że Rosya już jakoby otrzymała mandat do okupacyi Armenii. Rozumie się samo przez się, że pogłoska ta w wysokim stopniu zaalarmowała nasze sfery giełdowe. Dziś z otwarciem obrotów mdła tendencya jeszcze bardziej się wzmogła pod wpływem słabych notowań berlińskich. Kontrmina tamtejsza pracowała z wytężeniem wszystkich sił i z niemałym sukcesem. Rozpuściła ona pogłoskę, że królowa angielska umarła. Wprawdzie przyjęto ją z wielkiem niedowierzaniem, ale już samo jej pojawienie się wywarło swój ujemny skutek. Poprawiła się sytuacya dopiero w południe, gdy miano już pewność, że pogłoska ta była zwykłym manewrem giełdowym i gdy z Londynu i Paryża sygnalizowano poprawienie się tendencyi. W każdym razie ostateczne notowania i dziś wykazują spadek na całej linii. Wyjątek stanowią tylko renty.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 355·—, węgierskie 386 50, Anglobanki 162·—, Uniony 286·50, Bankvereiny 139 25 Länderbanki 232·—, Ludwiki 219 50, Czerniowieckie 286 50, Elbethale 273 50, Renta papierowa 100·15, srebrna 100 30, austryacka złota 122·20, 4% austr. renta wal. kor. 100 40, węgierska złota 121 85, 4% węgierska renta wal. kor. 98 85, dukat 5·71—, 20-frankówka 9·62½, marki 11·86, ruble 1·28¼.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 13 stycznia. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1216, węgierskich 2550 i niemieckich 581, razem 4347 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 32, dobre ciężkie 33 do 35, osobliwe wyjątkowo 36 do 38 zł., za buhaje i krowy 22 do 32 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła Wassergasse 23.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 15 stycznia.

Wobec rezerwy tak ze strony podaży jak kupujących ruch nieznaczny, usposobienie spokojne, a ceny niezmienione. Co do spirytusu tendencya słabsza wobec silniejszego zaofiarowania.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica 7·20 do 7·40, żyto 6·20 do 6·40, owies obroczny 5·20 do 5·70, jęczmień 4.25 do 6·—, rzepak 8·25 do 8·50, wyka 4.50 do 4·75, groch 6·50 do 8·—, lnianka 5·75 do 6·—, bobik 4·30 do 4·50, hreczka 6·50 do 6·75, kukurudza 5·10 do 5.30, chmiel za 56 kilo 25·— do 35·—, koniczyna czerwona 30·— do 45·—, koniczyna biała 40·— do 60·—, koniczyna szwedzka 30·— do 40·—, tymotka 20·— do 26·—, spirytus za 10·000 litr. proc. loco stacye kolei gotowy 12·— do 12·25, spirytus na termina 11·75 do 12·—.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 15 stycznia. Księdza Deckerta, oskarżonego o to, że w kazaniach swych podjudzał ludność chrześcijańską przeciw żydom i tym sposobem miał naruszyć spokój publiczny, sąd przysięgłych uwolnił zupełnie od winy. Na wszystkie pytania dotyczące winy sąd odpowiedział przecząco.

Sofia 15 stycznia. Książę Ferdynand wyjechał wczoraj przed południem za granicę. Przyczyna wyjazdu nie jest polityczną. Książę wyjechał w interesie familijnym. Podczas nieobecności księcia sprawować będzie rządy regencya.

Otwarcie sobrania nastąpi, jak to było pierwotnie zamierzone 22 go stycznia.

Lubiana 15 stycznia. Wieczorem o godzinie ½8 nastąpiło nagle dość silne wstrząśnienie ziemi połączone z falowaniem i podziemnym łoskotem. Wśród ludności wypadek ten nie wywołał przestrachu, wstrząśnienie nie wszyscy zauważyli.

Budapeszt 15 stycznia. *Budapester Corresp.* donosi, że na targu nierogacizny w Steinbruck stwierdzono w kilku wypadkach wybuch zarazy pyskowej i racicowej. Przebieg choroby ma być łagodny. Odpowiednie środki ostrożności przedsięwzięto.

Zagrzeb 15 stycznia. Rada gminna postanowiła jednogłośnie posłać sejmowi dalmatyńskiemu kondolencyę, wyrażającą ubolewanie z powodu śmierci marszałka sejmu dalmatyńskiego Klaic'a.

Morawska Ostrawa 15 stycznia. W tutejszych kopalniach, w szybie „Hermenegildy", wybuchł o godzinie pół do 12-tej pożar. Dotychczas wiadomo, iż 15 górników straciło życie, 17 zdołano wyratować. Przyczyną pożaru nie był wybuch gazów. Komunikacya pomiędzy tym szybem, w którym pożar wybuchł, a innemi, została natychmiast zamkniętą.

Londyn 15 stycznia. *Times* donosi, że admiralicya angielska wezwała pierwszorzędne warsztaty okrętowe, aby przedłożyły swe oferty na budowę dziesięciu nowych krzyżowców, która ma się bezzwłocznie rozpocząć. Nadto udała się admiralicya do wszystkich firm, mających jakiekolwiek roboty rządowe, z prośbą, ażeby te roboty rządowe wykończyły przed wszystkiemi innemi zamówieniami prywatnemi.

Minister spraw wewnętrznych Ridley miał wczoraj w Newcastle mowę, w której wyraził przekonanie, że zatarg o granicę Wenecueli załatwiony zostanie w sposób zadowalniający.

W dalszym toku rzekł Ridley, że wpadnięcie Jamesona do Transwaalu było bezprawiem nie do usprawiedliwienia, że rząd angielski trzymać się będzie konwencyi z roku 1884 i nie myśli w niczem naruszać praw innych państw.

Wiedeń 15 stycznia. *Fremdenblatt* donosi jako o rzeczy całkiem pewnej, że namiestnik Czech hr. Thun w dniu 7 stycznia wniósł na ręce rządu swą prośbę do Cesarza o dymisyę, że prośbie tej Cesarz uczynił zadość, podnosząc patryotyczną gotowość hr. Thuna. Aż do zamknięcia sejmu czeskiego pozostanie hr. Thun na swem stanowisku.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja 1. 3.

Przyjechali dnia 14 stycznia. T. hr. Stadnicki z Gumnisk. M hr. Jabłonowska z Popowiec. Al. Sulikowska z Warszawy. P Pohorecka z Dydni. K. Czecz z Bierzanowa. Dr. R. Ławrowski z Krakowa. Dr. Rapoport i W. Lindheim z Wiednia. Ks. F. Majewski z Maryampola. H. Töpfer z Wiednia. M Koliwoda z Pragi. R. G. Donnor z Lambach. J. Gehrenfeld z Insbruku. K. Schlesinger z Frieoek.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 14 stycznia. St. Ptaszycki z Petersburga F. Rogawska z Truskawca Wł. Fischer, Cz. Pieniążek i St Pieniążek z Krakowa Hrabia Młodecki i M. Baier z Królestwa Polskiego. Dr. A. Cyfrowicz z Krakowa. J. Krzysztofowicz z Mondzelówki.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 14 stycznia. J. br Romaszkan z Horodenki. K. Wierzchleyski ze Stawczan. Wł. Górski z Rożwienicy. F. hr. Czosnowski z Ożomli. A. Przedrzymirski z Woli małnowskiej. E. br. Hagen z Wielkich Ócz. Dr. M. Beyermann z Pasieczny. K. Cieński z Uwiśla.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Przyjaciołom, znajomym i wszystkim ludziom dobrej woli, którzy raczyli bądź to uczestniczeniem w obrzędzie pogrzebowym, bądź to w inny sposób okazać współczucie z powodu zgonu ś. p. Elżbiety Leżańskiej, szlemy tą drogą nasze serdeczne dzięki „Bóg zapłać".
Lwów 13 stycznia 1896. Rodzina **Leżańskich.**

Lwów dnia 15 stycznia. (Z Izby handlowej).
Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika [illegible] zł. m. k. 218 50 do 22[illegible]0 Kolej Lwowsko-Czern.-Jass. [illegible] po 200 zł. w. a. 286 — do 290.—, Banku hypotec. [illegible] 200 zł. w. a. 380.— do 395 — Akc. garbarni w Brzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.
Listy zastawne za 100 zł. Banku hip. [illegible] 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. [illegible] 109 70, 4 i pół proc. los. w 50 lat 99 70 100 4[illegible] Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat 100·50 do 101·2[illegible] Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97 50 do 98·2[illegible] Tow kred. ziem. 4 proc. (I emisya) 98 — do 98 70 4 proc. [illegible] w 41 i pół latach 97·80 do 98.50 4 proc. los. w 56 lat. 97 60 do 98·30.
Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego [illegible] 97.40 do 98 10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 1 1.00 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) [illegible] — 102.70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·— —·—, 4 i pół proc. 99 80 do 100.50, 4 proc. z r. 1891 96 [illegible]0 do 97 5[illegible], 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·— do 97.70.
Monety Dukat cesarski 5 63 do 5.7[illegible], Napoleondor 9.57 do 9.67, Półimperyał 9 80 do —.—, Rubel ros. [illegible] pap. 1.28 — —1 30 —. 100 marek niemieckich 59 20 —59 7[illegible]

Wiedeń 13 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 337 —, węgierskie kredyty 390 50, anglobank 164 75, bankverein 140 50 unionbank 291·00, länderbank 235 50 staatsbahny 352 75 lombardy 99 50, elbethale 285.00, akcye tytoniowe 183.00 rima 244.—, alpiny 80.50, renta majowa 100 35, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —·—, losy tureckie 55 40 węg. renta koronna 99 00 marki 49.45, ruble 129.—.

67)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

Koń posłuszny, jak dziecko, poszedł w ślady pana, który ruszył naprzód.

Po kilku minutach zboczył z bitego trak u na ścieżkę, wiodącą przez las do szałasu Hutnika. Że jednak nie był bardzo dobrze obeznany z tą drogą, zatrzymywał się od czasu do czasu i obejrzawszy drzewa na prawo i lewo, szedł dalej, upewniony, że nie zbłądził na manowce.

Naraz zatrzymał się i utkwił oczy z najwyższem zdziwieniem w swój ciężar ludzki, przydrożna bowiem gałąź kolczata, zaczepiwszy o wysoki cylinder Catariny, zdarła go z głowy, a długie jej, rozplecione włosy rozsypały się na podtrzymujące ją ramię, ciężką, miedzianą falą opadając aż ku ziemi.

— Kobieta! — zawołał zdumiony.

Daremnie jednak usiłował rozpoznać jej rysy. Noc była czarna, a zwarte łukowato u góry gałęzie wysokich drzew nie przypuszczały nawet migocącego blasku gwiazd.

Wtedy, zdjęty nagłem przerażeniem, zaczął biedz przed siebie co sił, nie zważając na gałęzie, które smagały mu lica, na ciernie i kolce, zahaczające jego włosy i odzienie, na długie, pełzające liany, chwytające stopy.

Tuż za nim biegł koń potulnie.

Lecz grunt stał się naraz wilgotny i bagnisty, tak, że kopyta biednego zwierzęcia zanurzały się w nim coraz głębiej.

— Zostań tu, Clarino — rozkazał podróżny.

I gdy posłuszne zwierzę cofało się o krok w tył, pan jego, ogarnięty śmiertelną trwogą, pędził bez opamiętania naprzód.

Nareszcie głębokie westchnienie ulżyło jego piersi, bo orle oko dostrzego zdala, wśród majaczących mroków, po nad gęstwiną krzewów niebotyczny platan, którego skręcone korzenie służyły za podstawę szałasu Hutnika.

Wytężywszy siły, w kilka minut wpadł na wysłane darnią klepisko. Na ławce, przed chatą, jakaś postać spoczywała nieruchomo.

— Hutniku! — zawołał nowo przybyły.

Postać zerwała się z siedzenia. Była to Marcya, która po odejściu Luiggiego zasnęła.

Na widok obcego człowieka, który stał przed nią nieruchomy, młoda dziewczyna, zbudzona z nienacka instynktowie schwyciła za stojący przy niej karabin.

— Cóż to, panna Marcya nie poznaje już swoich przyjaciół? — zagadnął podróżny.

— Pan d'Etrillac! — zawołało dziewczę, splatając ze zdziwieniem ręce.

— Cicho! — odparł. — Otwórz mi pani, proszę.

Marcya wprowadziła go do izby i biorąc ze stołu latarkę, oświetliła nią rysy Catariny.

— Wielki Boże! — zawołała — ta pani, która tu była niedawno!...

— Pani d'Evremond!... — zdumiał się d'Etrillac, składając zemdloną na tapczanie Hutnika. — W takiem przebraniu i w tak opłakanym stanie!...

Pochylił się ku niej i zbadawszy rany szepnął:

— Dwa wystrzały!.. Co to może być?.. co to znaczy?...

— Więc ta pani była tu niedawno?...

— Tak, razem z miss Mary — odparła córka Hutnika.

Brwi d'Etrillaca ściągnęły się.

— Miss Mary spacerowała po lesie z tą osobą? Cóż za nieostrożność!...

Dziewczyna podeszła bliżej do niego.

— Nie wiesz pan zapewne — rzekła — że miss Mary została otrutą.

Rajmund d'Etrillac wydał głuchy okrzyk i zbladł, jak ściana.

— Otrutą!... — jęknął. — Miss Mary... otrutą?!... I przez kogo?!..

Ruchem głowy Marcya wskazała Catarinę.

D'Etrillac z niepohamowaną wściekłością rzucił się ku winowajczyni z podniesionemi pięściami, lecz Marcya wstrzymała jego ramię, przemawiając tonem pełnym litości:

— Ona i bez tego dosyć ukarana.

— Nikczemna!... — zawrzało na ustach Rajmunda.

I chwytając ręce dziewczyny, dodał tonem śmiertelnej trwogi:

— A Mary?!...

— Jest uratowana i ma się lepiej; lecz pora była, abyś pan powrócił, panie d'Etrillac, bo niedalej niż tej nocy uknuto nowy spisek przeciw niej.

Rajmund już biegł ku drzwiom.

— Powiesz pani ojcu że jestem z powrotem — zawołała z progu.

— Odchodzisz pan?

— Śpieszę do Mary. Lecz pamiętaj pani... ani słowa o mnie i tej kobiecie.

I wyszedł, biegnąc.

Marcya przez chwilę stała w miejscu, patrząc za nim; potem pierś jej podniosła się głębokiem westchnieniem, a wielka, smutna łza stoczyła się z jej zamglonych oczu.

Lecz jęk, zalatujący z głębi izby, wyrwał ją z zadumy.

Obróciwszy się, spostrzegła Catarinę, która wpatrywała się w nią szeroko otwartemi oczyma.

— Ratunku! — bełkotały zbielałe jej usta.

Wzruszona litością, choć w głębi duszy czuła żal do nieznajomej za porwanie się na życie Mary Smither, Marcya podeszła do chorej, delikatnie rozpięła męzki płaszcz, osłaniający jej kształty, i nie mogła powstrzymać okrzyku grozy na widok szerokiej, krwią buchającej rany w piersi.

Palce Catariny targały konwulsyjnie suknię płaszcza, a gardło jej kurczyło się od czkawki, wywołanej wzmagającą się dusznością.

— Powietrza!... — szeptała zdławionym głosem.

Marcya z nieporównaną troskliwością uniosła ją nieco w górę, tak, że z głową wspartą o mur chora zaczęła oddychać trochę swobodniej.

Lecz w tej chwili potok skrzepłej i zczerniałej krwi rzucił jej się ustami, co sprawiło natychmiastową ulgę. Krew, ustępując z twarzy, powlokła ją śmiertelną bladością; ogarnęło ją przytem tak wielkie osłabienie, że szepnęła omdlewającym głosem:

— Do mnie!...

Powieki jej zamknęły się i westchnęła tak cicho, jakby to było ostatnie tchnienie.

Marcya pobiegła do szafy, wzięła z niej butelkę rumu i wlała kilka kropel do ust zemdlonej, która po chwili otwarła oczy, jakby budząc się z długiego, przykrego snu, rozejrzała się z pewnem zdziwieniem dokoła i niosąc dłoń do piersi, jęknęła:

— Cierpię!

— Ja pani opatrzę ranę — współczująco odezwała się dziewczyna.

I pochylona nad tapczanem, już zręcznemi rękoma sięgała do stanika młodej kobiety, gdy ta odepchnęła ją gwałtownie, wołając:

— Nie dotykaj mnie!

— A jednak... aby pani przynieść jakąkolwiek ulgę, muszę...

— Doktora!... Ja chcę doktora!... — rozkazująco mówiła Catarina.

Marcya potrząsnęła głową.

— Jesteśmy daleko od miasta, pani — rzekła.

— Posłuchaj — mówiła chora głosem przechodzącym z surowości w namiętne błaganie.— Jestem ciężko ranna... lecz ja nie chcę umierać .. ja nie mogę umrzeć!... Rozumiesz?... Chcę... muszę żyć!... Więc biegnij do miasta... sprowadź mi doktora... a dam ci za to fortunę!...

To mówiąc, myślała o sumie, która miała przy sobie, a która była przeznaczona do podziału pomiędzy Carpistę i Bersagliona.

O! z jakąż rozkoszą oddałaby te dwakroć siedmdziesiąt pięć tysięcy temu, któryby przedłużył jej życie o kilka godzin!

Nie dłużej... bo istnienie straciło dla niej cały swój urok i niemal pożądała śmierci, która położyłaby koniec katuszom, jakie cierpiała od chwili odzyskania przytomności.

Bo te dwa wystrzały... wiedziała dobrze, z czyjej ręki padły. Nie trzeba było być czarownikiem, aby to odgadnąć.

Uwiadomiony o wszystkiem przez niecnych jej wspólników, Luiggi zaczaił się na drodze, aby ją zamordować, bo razem z nią znikała ostatnia przeszkoda do jego małżeństwa z bogatą dziedziczką.

Wielki Boże! jakże on szalenie i bez opamiętania musiał ją kochać, gdy dla niej posunął się aż do tak potwornej zbrodni! A tak niedawno jeszcze, nim ta nowa miłość zakradła się do jego wiarołomnego serca, ona panowała w niem niepodzielnie... była bożyszczem, światłem i źrenicą jego oczu...

A dziś z tak zimnem, wyrafinowanem okrucieństwem poświęcił ją dla tamtej...

O! tak... chciała żyć kilka godzin jeszcze, aby pomścić krwawo swoją krzywdę. A potem śmierć może przyjść i zabrać ją z tego świata. Powita ją, jako wybawicielkę.

Ach! zemsta... zemsta okrutna, nieubłagana! Jakże rozkoszowała się zawczasu, myśląc o niej! Z jakimże spokojem będzie umierała, wiedząc, że w jednej chwili odpłaciła przeniewiercy za te wszystkie męki, które wycierpiała od chwili, gdy przejrzała jasno w jego duszy!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny, Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodek.